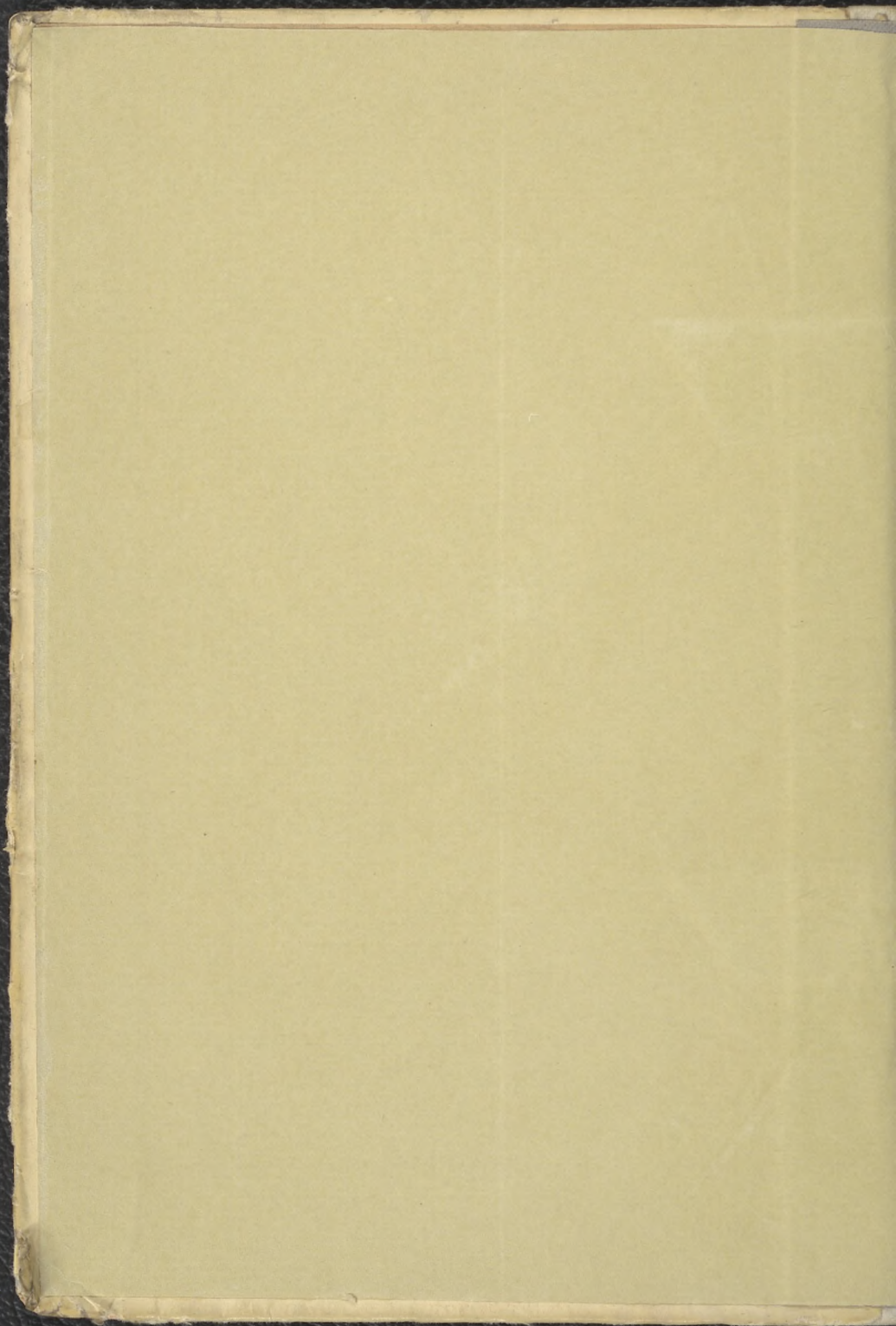
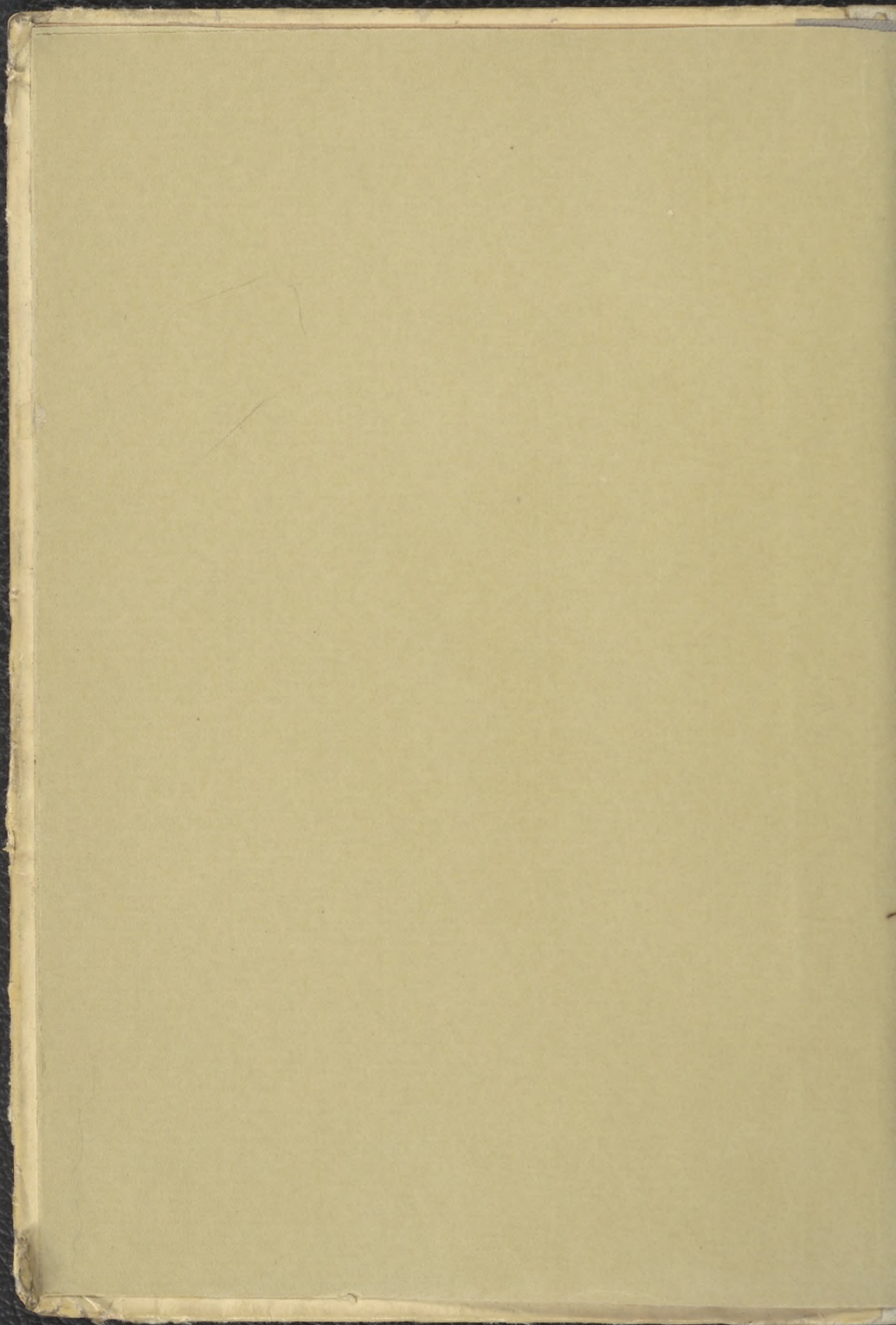


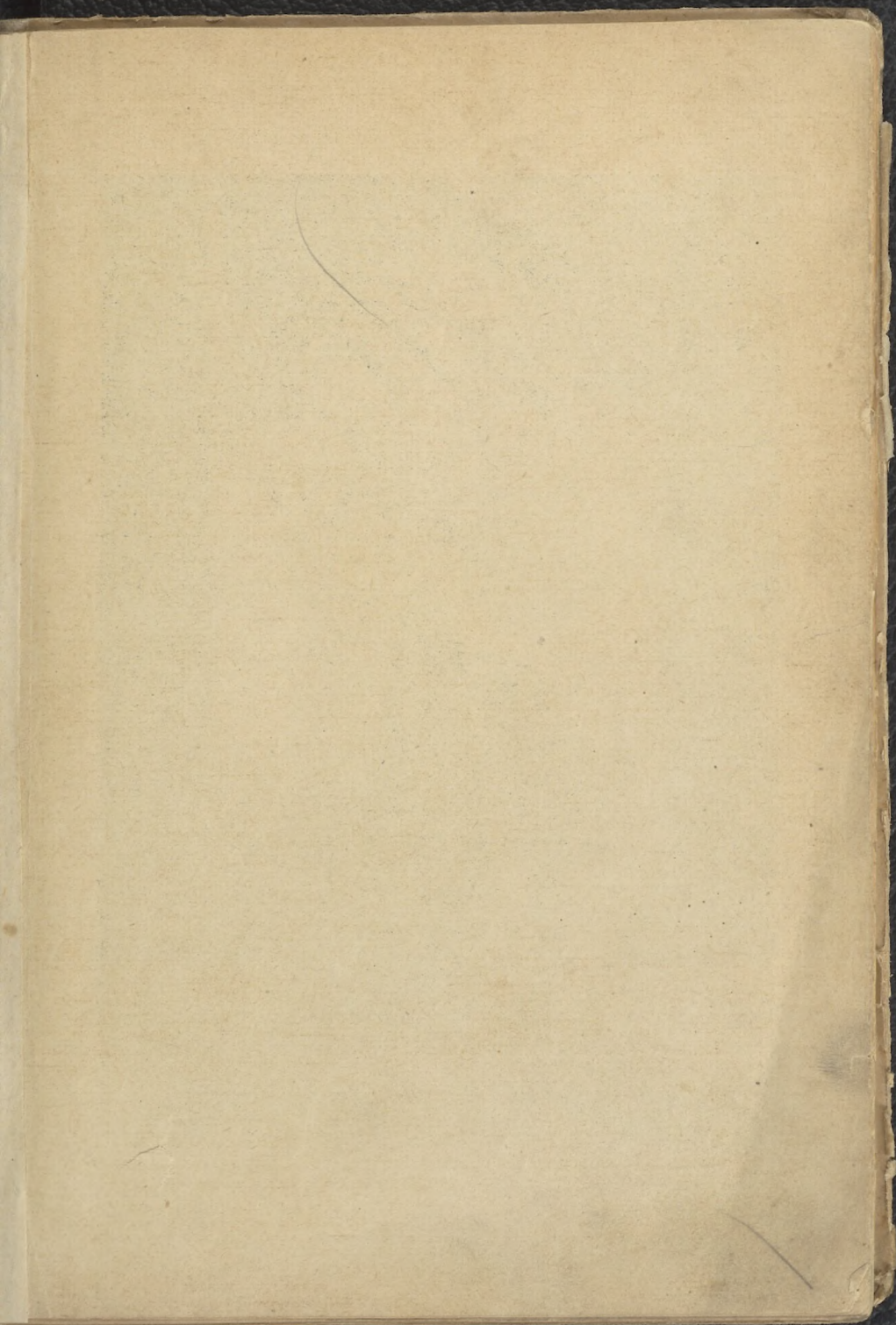


**ZBIÓR  
NAJNOWSZYCH BAJEK**



I 1.455.089  
(2 dieta)







BAJKI NAJZNAKOMITSZYCH AUTORÓW

**Zbiór**  
**Najnowszych Bajek**



---

— Warszawa — Kraków — Lwów.

BIBLIOTEKA NARODOWA  
WARSZAWA



30001000246209



I 1.455.087



*Druk. „Rekord“, Warszawa.*

2003 K 218/52



## GDY ZWIERZĘTA MÓWIĄ.

Pewien człowiek udał się do swego przyjaciela, który rozumiał mowę zwierząt i prosił go, aby go tej umiejętności nauczył. Wówczas przyjaciel rzekł:

— Mogę cię nauczyć ich mowy, lecz gdy zdradzisz przed kimś tę tajemnicę, nawet przed swą żoną, utracisz to, co masz w życiu najdroższego.

— Nie powiem o tem nikomu, nawet mojej żonie, — odparł ciekawy człowiek.

Zaczęło się nauczanie i wkrótce człowiek ów rozumiał już mowę wszystkich zwierząt. Sam on miał w domu kota, psa, osła i dwa woły.

Pewnego dnia, gdy wrócił do domu usłyszał, że pies z kotem rozmawiają.

— Czegobys najbardziej pragnął? — zapytał pies kota.

— Najbardziej pragnąłbym, aby mój pan i jego żona oślepli i żeby całe ich gospodarstwo zrobione było z mięsa i śmietany, to wówczas miałbym dopiero ucztę, — odparł kot.

Następnie kot zadał takie same pytanie psu, na które pies odpowiedział:

— Pragnąłbym, aby mój pan był bogaty, to wówczas mógłbym w nocy strzec jego majątku. Pan mój wtedy byłby ze mnie zadowolony i nie żałowałby mi dobrego pożywienia.

Ciekawy człowiek roześmiał się po wysłuchaniu rozmowy psa i kota, lecz potem opanował go gniew i wygnał kota z domu.

Żona tego człowieka zagniewała się bardzo na swego męża.

— Tak długo nie było cię w domu, — zawołała, — a gdy wróciłeś, śmiejesz się niewiedomo z czego i jeszcze kota mi z domu wyganasz. Jesteś naprawdę dziwnym człowiekiem. Powiedz mi prawdę. Czy masz jakieś złe zamiary?

W ten sposób czyniła wymówki mężowi, a on biedak nie wiedział jak ma na to poradzić, bo pamiętał, że gdyby jej zdradził

swą tajemnicę, utraciłby to, co ma najdroższego na świecie. Wreszcie postanowił niczone nie mówić tylko zapalał takim gniewem, że ona już więcej o nic nie pytała.

Pewnego dnia ów człowiek postanowił zaorać swe pole, więc zaprzął do pługa woły i orał do wieczora. Po zachodzie słońca, gdy woły wracały do domu, spotkał je na podwórzu osioł i zapytał:

— Gdzie byliście dzisiaj?

A na to woły:

— Nasz pan tak bardzo dbał o nas podczas zimy, bo chciał, abyśmy zaorały mu pole na wiosnę. Przyszedł czas orki i właśnie dzisiaj zaprzął nas do pługa.

Słyszac te słowa, osioł się roześmiał.

— Jesteście głupiel — zawołał. — Orka trwać będzie długo. Pan będzie was męczył, dopóki całego pola nie zaoracie.

— Więc co mamy robić? — zapytały jednogłośnie woły.

Na to osioł odpowiedział:

— Gdy pan będzie już orał kilka dni, jeden z was musi zachorować! Gdy wam **dz** trawę, nie jedzcie jej, nie pijcie również wody. Zobaczycie, że w ten sposób unikniecie dalszej orki.

Wówczas woły zapytały osła, co on wła-

ściwie przez cały dzień robi? Osiół odpowiedział:

— Nic nie mam do roboty, tylko leżę sobie na kwiatach.

Oczywiście pan zrozumiał całą rozmowę osła z wołami. Nazajutrz rano zaprzął znów woły do pługa i wrócił do domu przed zmierzchem. Ale jeden z wołów nagle zachorował, nie chciał jeść trawy i nie pił wody. Następnego dnia pan oprócz wołów, zaprzął do pługa osła. Osiół męczył się aż do wieczora, lecz orał, a gdy nie chciał iść równo w zaprzęgu, pan bił go batem i do wieczora umęczył osła okropnie.

Gdy wieczorem wrócili do domu, jeden z wołów zauważył, że osiół nic nie mówi i że uszy jego dziwnie obwisły ku dołowi.

Wówczas wół zapytał:

— Co ci się stało, osle?

A osiół odpowiedział:

— Jestem wam bardzo życzliwy. Nasz pan powiedział dzisiaj: „Jeden z wołów zachorował”, i sprzedał was rzeźnikowi, który jutro was napewno zabije. Z tego powodu jestem smutny, nic nie mówię i uszy mi obwisły.

— Więc co mam robić teraz? — zapytał wół.

— Udaj, że jesteś zdrowy, jedz trawę i pij wodę, — odrzekł osioł. — Napewno wówczas pan nie pozwoli rzeźnikowi was zabić.

Pan, słysząc tę rozmowę, począł śmiać się głośno, a żona jego zapytała:

— Czemu jesteś taki wesoły?

— Bez powodu! — odpowiedział.

Ona jednak nie zadowolniła się tą odpowiedzią i poczęła narzekać:

— Z pewnością nie śmiejesz się bez powodu, musisz mieć coś na myśli. Kiedyś także się śmiałeś, a gdy cię zapytałam o przyczynę śmiechu, zbeształeś mnie. Teraz jednak znowu się śmiejesz! Widocznie nie chcesz mi powiedzieć prawdy. Wobec tego odejdę od ciebie, zostań sam!

Tak się kłóciła ze swoim mężem, a gdy już była bardzo zagniewana, on postanowił powiedzieć jej prawdę.

— Pytałaś mnie często o powód śmiechu, ja jednak milczałem. Męczyłaś mnie. Jeżeli powiem ci prawdę, utracę wszystko, co mam najdroższego na świecie.

A na to żona:

— Powiedz mi prawdę, chociażbyś to miał przypłacić własnym życiem!

Wówczas opowiedział jej, jak się nau-

czył mowy zwierząt i opowiedział jej również rozmowę osła z wołami.

Lecz, gdy skończył swe opowiadanie, padł na ziemię martwy, a żona widząc to, zaczęła gorzko płakać. Niestety, na smutek było już zapóźno.

---

## DARY DOBREJ WRÓŻKI.

W dawnych bardzo czasach żyli sobie trzech bracia. Dwaj starsi uciekli pewnego dnia z domu, a najmłodszy brat, Jozef wysłany został na poszukiwanie braci. Wędrował bardzo długo, mijając szerokie gościńce i przedzierając się przez gęste lasy, aż wreszcie stanął przed wysoką górą. Tam spotkał przygarbioną staruszkę, która właściwie była w'różką.

— Dzień dobry, mój chłopcze, — rzekła — Co robisz w tych stronach i skąd się tutaj wziąłeś? Przecież przez gęsty las trudno się przedrzeć.

Jozef opowiedział staruszce, jak torował sobie drogę wśród zarośli, wędrując wciąż dalej, aby odnaleźć swych braci.

— Powiem ci, gdzie ich masz szukać, — rzekła staruszka. — Tutaj ich niema. Będziesz musiał zboczyć z drogi i pójść wąską ścieżką, która prowadzi do morza. Ale, gdy swych braci odnajdziesz, spadnie na ciebie całe mnóstwo zmartwień.

— Dlaczego? — zapytał Jozę. Był on dzielnym chłopcem i nigdy żadnych zmartwień nie miał. Przecież już tak daleko zawędrował, przedzierając się przez gęste krzewy, a jakoś dotychczas dawał sobie radę.

Staruszka uśmiechnęła się do niego.

— Bardzo mi się podobasz, mój chłopcze, — rzekła. — Podaruję ci coś, co przyniesie ci powodzenie. Dzięki tym moim darom będziesz mógł pokonać wszelkie trudności.

To mówiąc, dała Jozemu gąbkę i małą pałeczkę. Jozę podziękował, pytając, w jaki sposób ma używać tych darów.

— Nie powinnam ci tego mówić, — odparła staruszka. — Widzę, że jesteś mądrym chłopcem, Gdy nadejdzie pora sam będziesz wiedział, jak masz posługiwać się mojemu darami.

Jozę ruszył śpiesznie skalistą drogą, aż wreszcie dotarł do wąskiej ścieżki, prowadzącej do morza. Przedtem jednak schował głęboko dary dobrej wróżki.



Zdarzyło się tak, że najstarszy brat Jozego dostrzegł młodego wędrowca z okna królewskiego pałacu. W pałacu króla wyprawiano tego dnia wielką ucztę, więc bracia postanowili udać, że nie poznają swego brata, który ich szukał wśród tłumu gości.

— Ojciec z pewnością przysłał go, aby nas zabrał do domu, — rzekł jeden brat do drugiego. — Nie możemy przecież zgodzić się na to.

— Trzeba tak urządzić, żeby popadł w niełaskę króla, — odparł brat młodszy. — W ten sposób będziemy mogli prędko go się pozbyć.

A przed kilku laty zdarzyło się tak, że jedyna córka króla została zaklęta przez złą wróżkę. Wróżka zabrała królowną z pałacu i ukryła ją na dnie morza. Nic dziwnego, że najgorętszym życzeniem króla było, aby córka do pałacu wróciła. Dużo już razy obiecywał wielkie nagrody każdemu, kto zdoła królowną z niewoli wyswobodzić.

Dwaj starsi bracia Jozego wiedzieli o tem, to też stanęli przed królem, mówiąc, że młodszy ich brat postanowił wybrać się na poszukiwanie królowny. Obydwaj znali króla dobrze, znali również jego gniew, gdy ktoś nie dotrzymywał danej mu obietnicy,

a byli przecież pewni, że ich najmłodszy brat Jozef, nie będzie mógł królowy odnaleźć.

Jose był bardzo zdziwiony, gdy jeden z dworzan zatrzymał go w korytarzu pałacowym, mówiąc, że król go do siebie przywołuje. Nogi pod biednym chłopcem zdrząły, gdy zaprowadzono go przed oblicze króla.

— Mój chłopcze, — zwrócił się król do niego, — mówiono mi, że pragniesz odszukać moją córkę w głębinach morza i że pragniesz uwolnić ją od zaklęcia.

Jozef nagle przypomniał sobie dwa dary dobrej wróżki.

— Nic nie wiedziałem o twojej córce, Miłościwy Królu, — odparł, — i dlatego też nie mogłem wyjawić swego pragnienia. Gdybym wiedział o niej, z pewnością już dawno pośpieszyłbym jej z pomocą. Proszę cię, opowiedz mi o niej, Miłościwy Panie.

Wówczas król począł mu opowiadać o swej pięknej córce, którą porwała zła wróżka, zamknęła w skrzyni i ukryła na dnie morza. Jozef odrazu pomyślał, że jego gąbka i pałeczka, które otrzymał od dobrej wróżki, z pewnością przyczynią się do uwolnienia królowy.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, — rzekł, składając głęboki ukłon królowi.

Możecie sobie wyobrazić zdziwienie dwóch starszych braci Jozego, gdy ujrzeli go nad brzegiem morza właśnie w takiej chwili, kiedy wyciągał gąbkę z kieszeni. Siadłszy na gąbce, Jozę wypłynął na pełne morze, nie zważając na spienione fale i bałwany. Dotychczas żaden siłacz w królestwie nie odważyłby się wypłynąć tak daleko, bo fale z pewnością by go ze sobą zabrały.

Jozę podpłynął do skały, a gdy podniósł pałeczkę, podarowaną mu przez dobrą wróżkę, skała otworzyła się natychmiast i Jozę ujrział na samem dnie żelazną skrzynię, obitą gwoździami. Dotknął tej skrzyni pałeczką i wieko odskoczyło. Lecz wewnątrz nie było nic, oprócz małego białego jajeczka.

Jozę położył ostrożnie jajeczko na swej głowie i wsiadłszy na gąbkę, popłynął z powrotem do brzegu. Gdy zeskoczył z gąbki na wybrzeżu, powitały go głośnie okrzyki zebranych tam dworzan, bo król wysłał cały swój dwór nad brzeg morza, aby czekali na powrót Jozego.

— Gdzie jest królowna? — pytali wszyscy, gdy Jozę stanął na lądzie. —

Więc nie przywiozłeś córki królewskiej!  
Dwaj bracia Jozego uśmiechali się tylko, a w głębi duszy bardzo radzi byli, niepowodzeniu brata. Wiedzieli że Jozę nie potrafi uwolnić królowny.

Jozę na pytania dworzan nie odpowiadał, tylko bardzo ostrożnie zdjął przywiezione jajko z głowy. Położył je na brzegu i leciutko dotknął pałeczką dobrej wróżki. Wówczas jajko otworzyło się i wyszła z niego piękna królowna, która stanęła przy boku swego wybawcy.

— Jest nasza królowna! — zawołali uradowani dworzanie.

Łzy popłynęły po twarzy króla, gdy chwycił swą córkę w objęcia. Nie umiał znaleźć słów na wyrażenie swej radości.

A gdy król potem dowiedział się, że dwaj starsi bracia knuli przeciwko Jozemu, wygnał ich natychmiast ze swego pałacu. Jozę pozostał na zamku królewskim i wkrótce został mężem pięknej królowny, a gdy król umarł, on począł rządzić krajem i długo panował, będąc dobrym i miłościwym monarchą.

---

## CZAPECZKA Z SITOWIA.

Był sobie raz pewien bogaty szlachcic, który miał trzy córki i postanowił przekonać się, która z nich więcej go kochała. Raz więc zapytał pierwszą ze swych córek:

— Jak bardzo jestem ci potrzebny, moje dziecko?

— Jesteś mi tak samo potrzebny, ojcze, jak życie, — odparła.

— To dobrze! — uradował się szlachcic, a potem zwrócił się do drugiej córki:

— Jak bardzo jestem ci potrzebny, córeczko?

— Jesteś mi bardziej potrzebny, niż cały świat, — odrzekła druga.

— To świetnie, — ucieszył się szlachcic jeszcze bardziej, poczem zagadnął trzecią:

— Jak bardzo jestem ci potrzebny, kochanie?

— Jesteś mi tak potrzebny, jak sól potrzebna jest do mięsa, — zawołała.

Szlachcic zapalał gniewem.

— Wobec tego, ty mnie wcale nie kochasz, — rzekł, — i nie możesz dłużej pozostawać w moim domu.

Wyrzucił córkę na dwór i zatrzasnął za nią drzwi ze złością.

Poszła biedna dziewczyna przed siebie, aż wreszcie dotarła do bagniska, zarośniętego sitowiem. Zebrała tam całe mnóstwo sitowia, z którego zrobiła sobie dziwny płaszcz z kapturkiem, płaszczem tym okryła się od stóp do głowy, osłaniając piękną suknię, którą miała na sobie. Potem poszła znowu przed siebie, aż dotarła do wielkiego, wspianego domu.

— Czy nie potrzeba służącej? — zapytała.

— Nie, nie potrzeba, — odpowiedziano.

— Nie mam dokąd pójść, — skarżyła się biedaczka, — nie żądam zapłaty, a każdej roboty gotowa jestem się podjąć.

— Jeżeli chcesz zmywać talerze i szorować garnki, możesz zostać u nas, — otrzymała odpowiedź.

Została więc, zmywając talerze i szorując garnki, oraz spełniając wszelką najbrudniejszą robotę. A ponieważ nie wyjawiała swego imienia, poczęto ją nazywać „Czapeczką z sitowia”.

Pewnego dnia w sąsiedztwie urządzono zabawę i całej służbie pozwolono tam pójść, aby się mogła przyjrzeć wesołości możliwych ludzi. „Czapeczka z sitowia” wytłumaczyła się wielkiem zmęczeniem i została w domu. Lecz, gdy reszta służby już wyszła, dziewczyna zdjęła swój dziwny płaszczyk, umyła się, uczesała, poprawiła swą sukienkę i poszła na tańce. Żadna z obecnych dziewcząt nie była tak pięknie ubrana, jak ona.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, na zabawie był syn państwa, u których „Czapeczka z sitowia” służyła. Młodzieniec ów zakochał się odrazu w pięknej dziewczynie, nie mogąc oderwać się od niej wzroku. Przez cały wieczór z nikim innym nie chciał tańczyć.

Lecz nim się zabawa skończyła, „Czapeczka z sitowia” wymknęła się i pobiegła do domu. A gdy służba wróciła z zabawy, „Czapeczka z sitowia” spała już w swoim dziwnym zielonym płaszczku.

Nazajutrz rano powiedziano jej:

— Ominęła cię wielka przyjemność,  
„Czapeczko z sitowia”!

— A cóż tam było? — zapytała.

— Mogłabyś zobaczyć najpiękniejszą  
dame, ubraną w najpiękniejszą suknię na  
świecie. Nasz panicz oczu od niej nie mógł  
oderwać.

— Szkoda, że jej nie widziałam, — west-  
chnęła „Czapeczka z sitowia”.

— Dziś wieczorem będzie znowu zaba-  
wa i może na niej ta dama znowu się zjawi.

Lecz, gdy wieczór nadszedł, „Czapeczka  
z sitowia” wytłumaczyła, że jest zmęczona  
i że zostanie w domu. Jednakże, gdy reszta  
służby wyszła, zdjęła swój dziwaczny płasz-  
czyk, umyła się, uczesała, poprawiła sukien-  
kę i poszła na tańce. Młody panicz bardzo  
się ucieszył, gdy próg przestąpiła i z nikim  
innym tańczyć nie chciał, nie mogąc oder-  
wać od niej oczu.

Lecz nim zabawa minęła, „Czapeczka  
z sitowia” wymknęła się i pobiegła do do-  
mu. A gdy reszta służby wróciła, „Czapecz-  
ka z sitowia” spała już w swoim dziwacz-  
nym zielonym płaszczku.

Nazajutrz rano powiedziano jej:

— Widzisz, „Czapeczko z sitowia”, gdy-



byś była na zabawie, zobaczyłabyś tę damę. Przyszła znowu w swej najpiękniejszej sukni, a młody panicz nie mógł oczu od niej oderwać.

— Szkoda, że jej nie widziałam, — westchnęła „Czapeczka z sitowia”

— Dzisiaj wieczorem będą znowu tańce. Musisz iść z nami, bo ta dama z pewnością przyjdzie.

Gdy nadszedł wieczór, „Czapeczka z sitowia” poczęła narzekać, że jest bardzo zmęczona i postanowiła zostać w domu. Lecz gdy reszta służby wyszła, zdjęła swój dziwaczny zielony płaszczyk, umyła się, uczesała, poprawiła sukienkę i poszła na tańce.

Młody panicz uradował się na jej widok. Nie chciał tańczyć z nikim innym i nie mógł od niej oczu oderwać. Gdy nie wyjawiała mu swego imienia, ani też nie chciała powiedzieć, skąd pochodzi, podarował jej pierścioneł, mówiąc, że jeżeli więcej jej nie zobaczy, gotów umrzeć z tęsknoty. Nim zabawa minęła, „Czapeczka z sitowia” wymknęła się i pobiegła do domu. Agdy służba wróciła z zabawy, ona spała już w swym dziwaczным zielonym płaszczku.

Nazajutrz znów jej powiedziano:

— Szkoda, że cię wczoraj nie było na

zabawie, „Czapeczko z sitowia”. Teraz już nie zobaczysz tej pięknej damy, bo więcej zabaw nie będzie.

— Szkoda, że jej nie widziałam,—westchnęła z żalem „Czapeczka z sitowia”.

Tymczasem młody panicz czynił starania, aby odnaleźć dziewczynę, w której się zakochał, lecz nikt jej nie znał, nikt o niej nigdy nie słyszał. Młody panicz mizerniał z dnia na dzień, usychał z gorącej tęsknoty, aż wreszcie rozchorował się śmiertelnie.

— Ugotuj trochę kleiku dla panicza, — zwrócono się do kucharki. — Biedak umiera z tęsknoty za dziewczyną, w której się zakochał.

Kucharka wzięła się do gotowania, gdy nagle w pewnej chwili zjawiła się „Czapeczka z sitowia”.

— Co robisz? — zapytała.

— Gotuję kleik dla młodego panicza, — odparła kucharka, — bo biedak umiera z tęsknoty za dziewczyną, w której się zakochał.

— Pozwól mnie ten kleik ugotować, — prosiła „Czapeczka z sitowia”

Kucharka z początku nie chciała się zgodzić, lecz wreszcie przystała i „Czapeczka z sitowia” zaczęła gotować kleik. Gdy kleik był już gotowy, zdjęła z palca pierścio-

nek i wrzuciła go na dno talerza z kleikiem, poczem kleik zanesiono do sypialni panicza.

Chory panicz wypił kleik, gdy wtem ujrzął na dnie talerza pierścionelek.

— Przysłać mi tu kucharkę, — rozkazał.

Kucharka przerażona, wbiegła do sypialni.

— Kto gotował ten kleik? — zapytał panicz.

— Ja, — odparła kucharka, bo się bardzo bała jego gniewu.

Panicz spojrział na nią.

— Mówisz nieprawdę, — powiedział. — Powiedz, kto ten kleik gotował, a przyrzekam, że żadna krzywda ci się nie stanie.

— Gotowała kleik „Czapeczka z sitowia”, — wyszeptwała z przestraczem kucharka.

— Przyślij mi ją tutaj, — rozkazał panicz.

Po chwili „Czapeczka z sitowia” weszła do sypialni.

— Czyś ty gotowała kleik? — zapytał panicz.

— Tak, — odparła dziewczyna.

— Skąd masz ten pierścionelek? — zapytał znowu.

— Od tego, który mi go podarował.

— A kim ty jesteś? — zdziwił się młody panicz.

— Zaraz zobaczysz, — odparła z uśmiechem. Pośpiesznie zdjęła swój dziwaczny zielony płaszczyk i stanęła przed nim w swej pięknej sukni.

Młody panicz wyzdrowiał prędko, a „Czapeczka z sitowia” miała wkrótce zostać jego żoną. Wyprawiono wspaniałe wesele i zaproszono wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów. Zaproszony został również ojciec „Czapeczki z sitowia”, ona jednak nikomu nie mówiła, kim była właściwie.

Przed weselem „Czapeczka z sitowia” udała się do kucharki i rzekła:

— Proszę cię, abyś do żadnej potrawy przygotowanej na ucztę weselną, nie sypała soli.

— To przecież wszystko będzie bez smaku, — tłumaczyła się kucharka.

— Niech cię to nie obchodzi, — uśmiechnęła się „Czapeczka z sitowia”.

Nadszedł dzień weselny i „Czapeczka z sitowia” została żoną bogatego panicza. Gdy potem wszyscy goście zasiedli do stołu i zaczęli jeść mięso, okazało się, że nikt nie mógł skończyć swojej porcji, bo mięso

było zupełnie bez smaku. Ojciec „Czapeczki z sitowia“ zmuszał się do jedzenia, lecz wszystko mu ogromnie nie smakowało. Wreszcie odsunął talerz i począł płakać.

— Co się stało? — zapytał pan młody.

— Ach! — wyszłochał starzec. — Miałem córkę i raz chciałem wybadać jej uczucie do mnie i zapytałem, jak bardzo jestem jej potrzebny? A ona odpowiedziała: „Jesteś mi potrzebny tak, jak sól potrzebna jest do mięsa“. Wówczas wyrzuciłem ją z domu, bo sądziłem, że mnie nie kocha. Teraz dopiero przekonałem się, że kochała mnie więcej, niż dwie starsze córki. Biedna moja córeczka, z pewnością już nie żyje.

— Nie, ojczy, twoja córka jest tutaj! — zawołała w owej chwili „Czapeczka z Sitowia“. Podeszła do ojca i uściskała go serdecznie.

A potem wszyscy długo żyli w szczęściu i zdrowiu, zaś ojciec, „Czapeczki z sitowia“, która teraz była wielką panią, nie wątpił już nigdy o miłości swej najmłodszej córki.

---

## PASTUSZEK I PRZĄDKA.

Pastuszek był dzieckiem bardzo biednych rodziców. Gdy miał lat dwanaście, rodzice oddali go na służbę do pewnego gospodarza, u którego Pastuszek miał paść krowę. Kilka lat minęło; krowa urosła i była bardzo gruba, a sierść jej błyszcząca, jak prawdziwe złoto. Pastuszek odrazu domyślił się, że krowa ta musiała być krową bogów.

Pewnego dnia, gdy wyprowadzał ją na pastwisko w góry, krowa nagle zaczęła przemawiać do Pastuszka ludzkim głosem.

— Dzisiaj mamy Siódmy Dzień, — powiedziała. — Wiesz pewno o tem, że Biały Wódz Nefrytów ma dziewięć córek. Siódma córka Wodza jest najpiękniejsza i najmądrzejsza. Przędzie ona jedwabną chmurkę dla

Króla i Królowej Niebios, a przedzie lepiej, niż potrafią to wszystkie dziewczęta na ziemi. Jeżeli zdołasz zabrać jej szatę, gdy będzie się kąpać, to będziesz jej mężem i staniesz się nieśmiertelny:

— Ale przecież siódma córka Białego Wodza Nefrytów jest w Niebiosach, — rzekł Pastuszek, — jakże mógłbym tam do niej się dostać?

— Zaniosem cię do niej, — obiecała krowa bogów.

Pastuszek usiadł na jej grzbiecie i krowa poczęła wznosić się w górę, uderzając głośno o chmury kopytami. Dookoła Pastuszka panował dziwny szum, jakby głośny wichur zawodził, a krowa płynęła po obłokach, niby błyskawica. W pewnej chwili zatrzymała się:

— Jesteśmy już na miejscu, — oznajmiła.

Pastuszek rozejrzał się dokoła i ujrzał wszędzie lasy z drogich kamieni, a drzewa z błyszczącego nefrytu. Trawa była z jaspisu, a kwiaty z koralu, w samym zaś środku tej cudownej krainy znajdowało się wielkie jezioro, połyskujące niby czysto wymyte lustro. Fale jeziora szumiały cichutko, a od czasu do czasu na powierzchnię wypływały ryby, pokryte złotymi łuskami. Nad je-

ziorem unosiło się mnóstwo ptaków, które trzepotały skrzydełkami i śpiewały. W oddali nad brzegiem jeziora Pastuszek ujrzał dziewięć ślicznych dziewcząt, zanurzających się w wodę. Dziewczęta zrzuciły z siebie szaty i zostawiły je na brzegu.

— Zabierz prędko tę czerwoną szatę,— rzekła krowa do pastuszka, — i schowaj ją w lesie, a chociaż siódma córka Białego Wodza Nefrytów będzie cię prosić o nią, nie oddawaj jej szaty, dopóki ci nie przyrzeknie, że zostanie twoją żoną.

Słyszac te słowa, Pastuszek śpiesznie zeskoczył z grzbietu krowy i chwycił czerwoną szatę. W tej samej chwili dziewczęta dostrzegły go i wyskoczyły na brzeg.

— Ach, młodzieńcze, — zawołała siódma córka Białego Wodza Nefrytów, — proszę cię, oddaj mi moją szatę.

— Oddam, gdy przyrzekniesz mi, że zostaniesz moją żoną,—odparł pastuszek.

Lecz odpowiedź ta nie zadowolniła siódmej córki Białego Wodza Nefrytów.

— Jestem córką Wodza Bogów, — rzekła, — i nie mogę wybierać sobie męża bez wiedzy mego ojca. Oddaj mi moją szatę, bo ojciec mój gotów cię ukarać.



Wówczas odezwała się krowa, która miała sierść lśniącą, jak złoto:

— Los was oboje przeznaczył dla siebie, a ja chętnie pobłogosławię wasze małżeństwo. Jestem pewna, że twój ojciec, Wódz Bogów, nie będzie miał nic przeciwko temu.

Siódma córka Białego Wodza Nefrytów odpowiedziała:

— Jesteś nierozsądnym zwierzęciem! Jak możesz błogosławić nasze małżeństwo? A na to krowa.

— Czy widzisz tę starą wierzbę, tam na brzegu? Spróbuj zapytać ją o coś. Jeżeli wierzba przemówi, to znaczy, że niebiosa zgadzają się na wasz związek.

Siódma córka Białego Wodza Nefrytów podeszła do wierzby i przemówiła do niej, na co wierzba odpowiedziała ludzkim głosem:

— Dzisiaj jest Siódmy dzień. Mały Pastuszek niech poślubi Prządkę Nefrytów!

Siódma córka Białego Wodza Nefrytów uspokoiła się tą odpowiedzią i została żoną Pastuszka.

Lecz po upływie siedmiu dni postanowiła odejść od niego.

— Wódz Niebios polecił mi zająć się mojem przedziwem, — rzekła. — Jeżeli będę

zbyt długo okładać spełnienie jego rozkazu, to gotów mnie ukarać. Chociaż rozstajemy się teraz, to mimo wszystko, spotkamy się znowu.

Wypowiedziawszy te słowa, oddaliła się śpiesznie. Pastuszek pobiegł za nią, lecz gdy już ją doganiał, siódma córka Białego Wodza Nefrytów wyjęła z włosów długą szpilkę i uczyniła nią znak krzyża na niebie, a linja ta zmieniła się nagle w srebrzystą rzekę. Stali teraz przegrodzeni rzeką, spoglądając wzajemnie na siebie.

Od tej chwili spotykali się co roku, raz jeden w wigilję Siódmego Dnia. Gdy nadchodziła ta pora, zlatywały się wszystkie wrony ze świata żyjących ludzi i tworzyły ze swych skrzydeł most, po którym siódma córka Białego Wodza Nefrytów przechodziła przez srebrzystą rzekę. I właśnie owego dnia od rana do wieczora ani jednej wrony nie było widać na ziemi. A oprócz tego, często wieczorem w dniu, poprzedzającym Siódmy Dzień, wielki kroplisty deszcz spadał na ziemię. Wówczas stare kobiety mówiły do siebie:

— To są łzy, którem, płaczą Pastuszek i Prządka Nefrytów dlatego, że muszą się rozstać!

Prawdopodobnie z tego powodu, zazwyczaj Siódmego Dnia kroplisty, ciepły deszcz spada na ziemię.

---

## HISTORJA O NALEŚNIKU.

Była sobie raz kobieta, która miała siedmioro głodnych dzieci i aby je nakarmić postanowiła usmażyć im naleśniki. Jeden naleśnik leżał już na patelni, a był taki rumiany i pulchny, że z przyjemnością się nań patrzyło. Dzieci stały dookoła patelni, za nimi zaś siedział dziadek i także naleśnikowi się przyglądał.

— Daj mi kawałek naleśnika, mamo, taki jestem głodny! — zawołało pierwsze dziecko.

— Mamo droga! — poprosiło drugie.

— Mamo droga, kochana! — dorzuciło trzecie.

— Mamo droga, kochana, jedyna! — zawołało czwarte.

— Mamo droga, kochana, jedyna najlepsza! — błagało piąte.

— Mamo droga, kochana, jedyna, najlepsza, najmiłsza! — jęknęło szóste.

— Mamo najdroższa, najukochańsza, jedyna, najlepsza, najmiłsza! — niecierpliwiło się siódme i tak stały wszystkie dzieci dookoła patelni, a każde prosiło czulej, bo były bardzo głodne i bardzo źle wychowane.

— Poczekajcie dzieci, aż naleśnik przewrócę na drugą stronę, — odparła matka, — zobaczycie wówczas, że będzie jeszcze apetyczniejszy. Spójrzcie, jaki jest pulchny i rumiany, gdy leży tak na patelni!

Lecz gdy naleśnik to usłyszał, przeraził się bardzo, odwrócił się nagle na drugą stronę i chciał uciekać z patelni. Odwracając się, urósł jeszcze bardziej, stał się okrągły, spadł na podłogę i potoczył się, jak kółko w stronę drzwi, a potem przez próg na ulicę.

— Hola! — wołała kobieta, biegnąc za naleśnikiem z patelnią w jednej ręce, a z łyżką w drugiej. Za nią pobiegły dzieci, a za dziećmi stary dziadek, kulejąc i wspierając się na sękatym kijku.

— Stój! — Stój! Trzymać go! Nie puszczaj! — wołali wszyscy razem i każdy usiłował schwytać naleśnik, który toczył się coraz prędzej

Naleśnik jednak uciekał, ile mu tylko sił starczyło, aż wreszcie nie widział już za sobą ani kobiety z patelnią i łyżką, ani dzieci, ani też starego dziadka, wspierającego się na sękatym kijku. Gdy zrobił milę drogi, spotkał pewnego chłopca.

— Dzień dobry, naleśniku, — wołał ów chłopiec.

— Dzień dobry, Chłopcze Wędrowcze, — odparł naleśnik.

— Drogi, kochany naleśniku, nie biegnij tak szybko. Zaczekaj chwilkę, żebym cię mógł zjeść! — prosił chłopiec.

— Uciekłem matce Gray i dziadkowi i siedmiorgu dzieciom, więc mam nadzieję, że tobie też ucieknę, Chłopcze Wędrowcze! — zawołał naleśnik i śpiesznie potoczył się dalej.

Tocząc się tak coraz prędzej, spotkał po drodze kurkę.

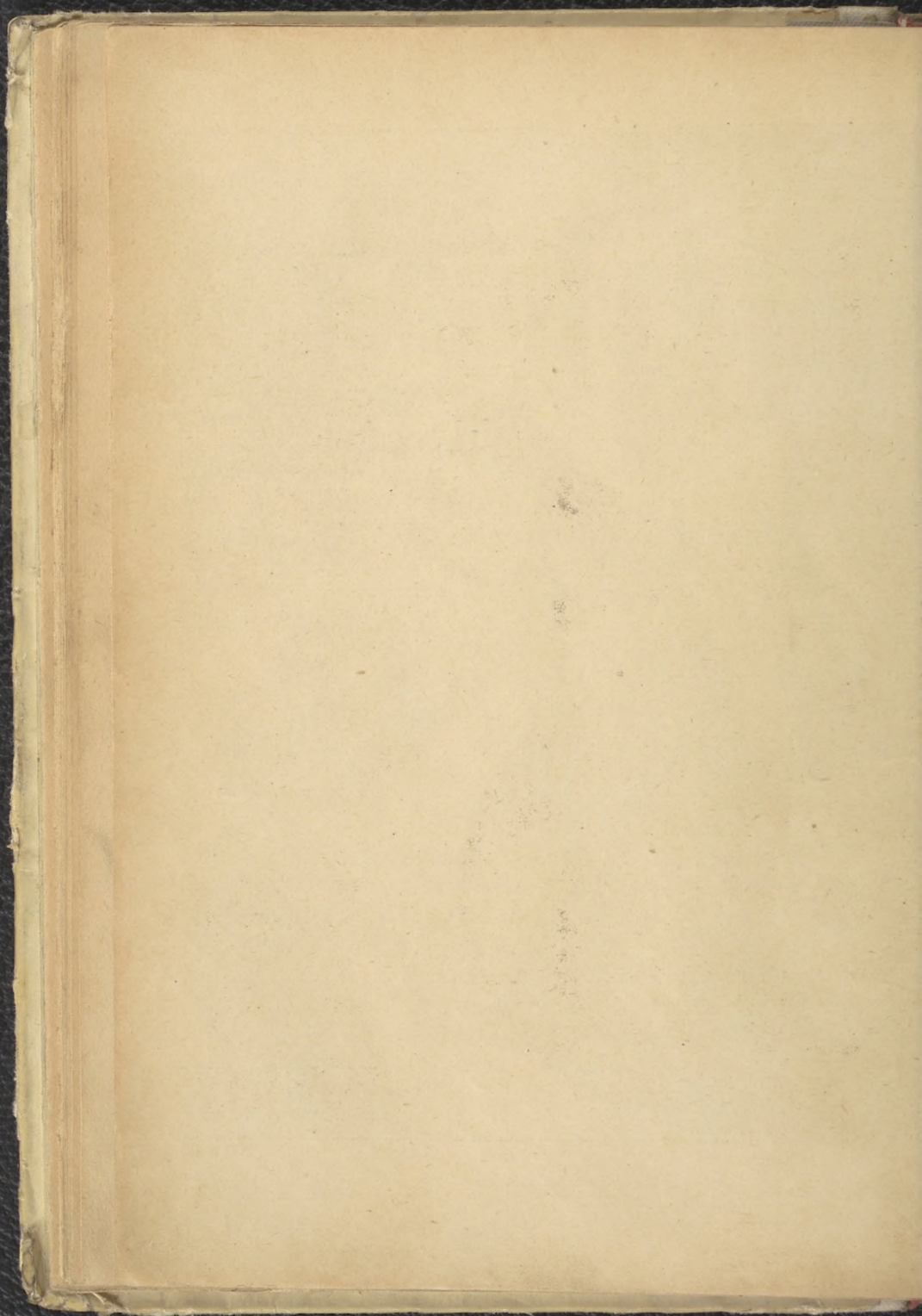
— Dzień dobry, naleśniku, — zawołała kurka.

— Dzień dobry, Kurko Bzdurko, — odpowiedział naleśnik.

— Drogi, kochany naleśniku, nie biegnij tak szybko. Zaczekaj chwilkę, żebym cię mogła zjeść! — prosiła kurka.

— Uciekłem matce Gray i dziadkowi i siedmiorgu dzieciom i Chłopcowi Wędrowco-







wi, więc mam nadzieję, że i tobie ucieknę,  
Kurko Bzdurko! — zawołał naleśnik i śpiesz-  
nie potoczył się dalej.

W dalszej drodze naleśnik spotkał ko-  
gucika.

— Dzień dobry, naleśniku, — zawołał  
kogucik.

— Dzień dobry, Koguciku Psotniku, —  
odparł naleśnik.

— Drogi, kochany naleśniku, nie biegnij  
tak szybko. Zaczekaj chwilkę, żebym cię mógł  
zjeść! — prosił kogucik.

— Uciekłem matce Gray i dziadkowi  
i siedmiorgu dzieciom i Chłopcu Wędrowco-  
wi i Kurce Bzdurce, więc mam nadzieję, że  
i tobie ucieknę, Koguciku Psotniku! — za-  
wołał naleśnik i śpiesznie potoczył się dalej.

A gdy już biegł tak przez dłuższy czas,  
spotkał po drodze kaczkę.

— Dzień dobry, naleśniku, — zawołała  
kaczka.

— Dzień dobry, Kaczko Gdaczko, — od-  
parł naleśnik.

— Drogi, kochany naleśniku, nie biegnij  
tak szybko. Zaczekaj chwilkę, żebym cię  
mogła zjeść! — prosiła kaczka.

— Uciekłem matce Gray i dziadkowi  
i siedmiorgu dzieciom i Chłopcu Wędrowco-

wi i Kurce Bzdurce i Kogucikowi Psotnikowi, więc mam nadzieję, że i tobie ucieknę, Kaczko Gdaczkol— zawołał naleśnik i potoczył się dalej.

Gdy biegł już długo, bardzo długo, spotkał na drodze gąskę.

— Dzień dobry, naleśniku, — wołała gąskę,

— Dzień dobry. Gąsko Dąsko, — odparł naleśnik.

— Drogi, kochany naleśniku, nie biegnij tak szybko. Zaczekaj chwilkę, żebym cię mogła zjeść! — prosiła gąska.

— Uciekłem matce Gray i dziadkowi i siedmiorgu dzieciom i Chłopcu Wędrowcowi i Kurce Bzdurce i Kogucikowi Psotnikowi i Kaczce Gdaczce, więc mam nadzieję, że i tobie ucieknę, Gąsko Dąsko, — zawołał naleśnik i śpiesznie potoczył się dalej.

Gdy znowu biegł bardzo długo, spotkał na drodze gąsiora.

— Dzień dobry naleśniku, — zawołał gąsior.

— Dzień dobry Gąsiorku Przekorku, — odparł naleśnik.

— Drogi, kochany naleśniku, nie biegnij tak szybko. Zaczekaj chwilkę, żebym cię mógł zjeść,—prosił gąsiorek.

— Uciekłem matce Gray i dziadkowi siedmiorgu dzieciom i Chłopcowi Wędrowcowi i Kurce Bzdurce i Kogucikowi Psotnikowi i Kaczce Gdacze i Gąsce Dąsce, więc mam nadzieję, że i tobie ucieknę, Gąsiorku Przekorku, — zawołał naleśnik i potoczył się dalej.

Wreszcie po długiej swej wędrówce, naleśnik spotkał na drodze świnkę.

— Dzień dobry, naleśniku, — zawołała świnka.

— Dzień dobry, Świnko Kwiczynko, — odparł naleśnik i zaczął toczyć się coraz śpieszniej dalej.

— Zaczekaj chwilkę, — rzekła świnka. — Poco się tak śpieszysz, przecież możemy razem przejść przez ten las i porozmawiać trochę.

Naleśnikowi spodobała się ta propozycja i w towarzystwie świnki ruszył już wolniej w dalszą drogę. Szli tak dość długo, aż wreszcie doszli do strumyka.

Świnka mogła z łatwością strumyk przepłynąć, lecz naleśnik pływać nie umiał, zresztą bał się, że w wodzie napęcznieje i straci swój piękny kształt.

— Siadaj na moim ryjku, — zaproponowała świnka, — a ja cię przez strumyk przeniosę

Naleśnik zgodził się chętnie.

— Uf, ufi — westchnęła świnka i otwo-  
rzywszy ryjek, połknęła naleśnik.

A ponieważ naleśnik dostał się do żo-  
łądka świnki i nie mógł już toczyć się da-  
lej, więc musimy historyjkę naszą zakoń-  
czyć.

---

## DUCH GÓR.

W całym królestwie Błękitnych Dzwonków panowała wielka radość. Dzwoneczki dzwoniły, dęto w rogi, grały kapele, bębniły bębny, jak nigdy nie bębniły dotychczas. Bo oto królowi i królowej tego kraju urodziła się mała córeczka.

Stosownie do zwyczaju, z tej radosnej okazji wyprawiono wielką ucztę, na którą król i królowa zaprosili jako honorowych gości, wszystkie wróżki. Wróżki przyniosły ze sobą rozliczne dary, które składały małej królewnie. Przyniosły jej w upominku talent, zdrowie, urodę i dobroć.

A trzeba wiedzieć, że czarownice i czarodzieje są stworzeniami ogromnie wrażliwymi i obrażają się najbardziej wówczas, gdy

nie zaprasza się ich na ucztę, na którą zaproszone zostały wróżki. Przykro się przyznać, że król i królowa krainy Błękitnych Dzwonków zapomnieli zupełnie zaprosić na swoją ucztę Ducha Gór. Ta mimowolna nieuwaga kosztowała ich potem niestety wiele łez.

Gdy uczta zbliżała się ku końcowi, goście przerazili się nagle niebывałym hałasem, który rozległ się wewnątrz pałacu, niby uderzenie pioruna. Prawie jednocześnie otworzyło się okno w komnacie królewskiej i ukazał się w niej mały staruszek, owinięty w skórę lwa, która okrywała go od stóp do głowy i ciągnęła się jeszcze za nim po ziemi. Widać było tylko jego wykrzywioną złością twarz i świecące czarne oczy.

Z pełnym gniewu uśmiechem rozejrzał się po komnacie, aż wreszcie dostrzegł króla.

— Jestem Duchem Gór! — zawołał. — Ponieważ nie zaprosiliście mnie na ucztę, przyszedłem sam, ażeby się zemścić!

Król i królowa oniemieli z przerażenia, lecz wróżka Dobre Serce odpowiedziała za nich:

— Spóźniłeś się nieco. Królowna Auro-ra otrzymała już wszystkie dary i wszystkie cnoty, które darujemy ludziom śmiertelnym.

Twoja siła nie może pokonać tego, co myś-  
my uczyniły.

Duch Gór zaśmiał się tak głośno, że  
cały pałac zatrzęsł się, jak podczas trzęsie-  
nia ziemi. Nie mówiąc nic więcej, podbiegł  
do kolebki królowny i przyłożył swą chudą  
starczą rękę do jej złocistych loków.

— Ponieważ nie mam dla ciebie żad-  
nego daru, — rzekł, śmiejąc się znowu, —  
to wzamian tobie coś zabiorę.

I jednym skokiem mały staruszek zna-  
lazł się za oknem. A król i królowa z prze-  
rażeniem dostrzegli, że zniknęły piękne zło-  
ciste loki z główki ich dziecka i że główka  
ta była zupełnie łysa, ani jednego włoska  
na niej nie zostało.

— Nie martwcie się, — rzekła piękna  
młoda wróżka. — Chociaż nie mogłam za-  
pobiec katastrofie, to jednak postaram się  
królownę uleczyć. Któryś z dzielnych króle-  
wiczów wróci loki waszej córce, które ukradł  
Duch Gór. Ja jestem wróżką Nadziei. W dniu,  
w którym Aurora skończy lat osiemnaście,  
zjawię się tu znowu.

Powiedziawszy te słowa, zniknęła, a ucz-  
ta zakończyła się ze smutkiem.

Czas mijał, a królowna z dnia na dzień  
rosła, piękna i dobra, jak anioł. W osiem-

nastą rocznicę jej urodzin, wyprawiono wielką ucztę w pałacu, na cześć przybycia czterech królewiczów, którzy się starali o rękę Aurory.

Pierwszy królewicz miał na imię Otton, lecz poddani jego, wiedząc, że dąży do bogactwa, nazwali go królewiczem Chciwym.

Królewicz słyszał, że król krainy Błękitnych Dzwonków był panem dzielnym i mądrym, to też postanowił pojąć królową Aurorę za żonę. Brak włosów królowy wcale go nie martwił, gdyż pragnął nadewszystko zdobyć tylko jej majątek.

Drugi, królewicz Wirgiljo, zwany był Niedbałym. Był on dziedzicem królestwa, w którym poddani okazywali mu nieposłuszeństwo i pogardę. Dowiedziawszy się o niezwykłej urodzie i uzdolnieniu królowy, zapragnął pojąć ją za żonę, aby ona rządziła jego krajem, a on mógł oddawać się lenistwu.

Trzeci, królewicz Narcyz, nosił przydomek Lekkomysłnego. Chociaż był bardzo próżny, to jednak nie posiadał złego serca, lecz nie mając nadziei na uzyskanie tronu, pragnął kiedyś rządzić krainą Błękitnych Dzwoneczków.

Czwartego, królewicza Bradamora, pod-



dani nazywali królewiczem Prawym, bo był on pięknym młodzieńcem, posiadającym wszelkie cnoty. Znając dobroć królowny Aurory, zapragnął pojąć ją za żonę tylko dla siebie; pocieszał się, że królowna go pokocha i obydwójce żyć będą w wielkiem szczęściu i zadowoleniu.

W komnacie tronowej król, królowa i królowna czekali już na gości. Weszli po kolei królewicze i po złożonym ukłonie, każdy z nich zajął przygotowane dla siebie miejsce.

Nagle otwarło się okno komnaty tronowej i wjechała przez nie piękna kolasa ze szmaragdów, ciągniona przez gołębie o koralowych dziobach i oczach z szafirów. Lejce były splecione z róż i jaśminów, a w kolasie siedziała wróżka Nadziei.

Wszyscy powstali na jej widok, Aurora zaś podbiegła, aby ją powitać. Wróżka Nadziei ucałowała swą chrześnicę i zwróciła się do króla i królowej:

— Obiecałam wrócić tutaj w dniu, kiedy Aurora skończy osiemnaście lat i jak widzicie, dotrzymałam słowa. Królewicze, — dodała, zwracając się do czterech młodzieńców, — ten z was zdobędzie rękę królowny Aurory, który pierwszy przyniesie z po-

wrotem złote jej loki, ukradzione przez Du-  
cha Gór, gdy jeszcze królowna była w ko-  
lebce. Od dzisiaj za rok przyjdę tu znowu,  
aby nagrodzić szczęśliwego królewicza, któ-  
remu posłannictwo się uda. Do tego czasu  
zabraniam wam przekraczać bramy pałacu.  
Każdemu z was ofiaruję worek złota, które-  
mu pokryć będziecie mogli wszelkie koszta wa-  
szego poszukiwania. Ostrożnie jednak wyda-  
wajcie pieniądze i tylko w tym celu, abyś-  
cie mogli odnaleźć złote loki i jednocześnie  
zdobyć rękę królowny.

Po tych słowach wróżka Nadziei ucało-  
wała Aurorę i zniknęła razem ze swoją  
szmaragdową kolasą.

Czterej młodzi królewicze wyruszyli na  
poszukiwania złocistych loków królowny-  
a Aurora w głębi serca najbardziej pragne-  
ła, aby królewicz Bradamor wrócił z tej  
wyprawy zwycięsko.

U bram pałacu rozstali się królewicze i  
każdy poszedł w swoją stronę.

Zaledwie królewicz Chciwy uszedł kil-  
kanaście kroków, zjawiała się nagle przed  
nim przygarbiona staruszka, prosząc o ja-  
mużnę.

— Zejdź mi z oczu, żebraczkol —

wolał gniewnie i pchnął ją tak mocno, że upadła na ziemię.

— Strzeż się!—zawołała. — Ten czyn nie będzie ci zapomniany.

Królewicz poszedł dalej swoją drogą, lecz ledwie wyszedł z miasta, znalazł się w gęstym lesie, w którym drzewa wierzchołkami sięgały prawie nieba.

— Stój! Ręce do góry! — usłyszał podniesione gniewne głosy i nagle sześciu zamaskowanych ludzi wypadło ze swych kryjówek i obrabowawszy biednego królewicza ze wszystkiego, co miał przy sobie, tak go pobili, że padł zemdłony, a gdy się zbudził, musiał na czworakach przyczołgać się do najbliższej wsi. Rany jego jednak były tak poważne, że natychmiast zmuszony był położyć się do łóżka i w łóżku tem przeleżał cały rok, aż do oznaczonego dnia, w którym miał przynieść do pałacu złociste loki Aury.

Gdy królewicz Niedbały przestąpił bramy pałacu, począł iść przed siebie wolnym krokiem, bo był nie w humorze. Z natury leniwy, nie radował się wcale nadzieją odnalezienia złocistych loków królowy. Nagle na drodze spotkał przycarhioną staruszkę, proszącą o jałmużnę.

— Idź precz! — zawołał gniewnie, nie zatrzymując się ani na chwilę. — Mam za dużo spraw na głowie, aby jeszcze zajmować się żebrakami!

A gdy wyszedł z miasta, dostrzegł, że góra, na wierzchołku której mieszkał Duch, oddalała się od niego coraz bardziej i lękając się zmęczenia po tak długiej podróży, postanowił zaniechać swoich poszukiwań. To też ukrył się w wygodnym swym domu i przepędził cały rok na spaniu, jedzeniu i picciu. Pieniądze otrzymane od wróżki Nadziei, wydał na piękną perukę, która miała zastąpić złociste loki królowny.

Królewicz Lekkomysłny, wyszedłszy z miasta, dotarł do małej rzeczki, której woda była tak czysta, a tafla tak gładka, że wyglądała zupełnie, jak zwierciadło. Królewicz pochylił się nad wodą i począł się zachwycać swą piękną twarzą, dobrze uszytym ubraniem i przejrzystością chłopięcej cery, gdy nagle usłyszał za sobą jakiś głos, wzywający pomocy. Był to głos staruszki, która wpadła do bagniska znajdującego się w lesie. Gdy królewicz podszedł do niej, zauważył, że była tak brudna i tak nędznie ubrana, iż lękał się, że zabrudzi się od niej. Postanowił więc nie dotykać staruszki, cho-

ciaż w gruncie rzeczy bardzo jej chciał pomóc.

— Dobra kobieto, — rzekł z litością, rzucając jej kilkanaście srebrnych monet, otrzymanych od wróżki Nadziei, — weź to sobie. Nie mam czasu na to, aby się zatrzymywać i wyciągać cię z bagniska, lecz słyszę, że ktoś nadchodzi, więc tego kogoś poproszę o pomoc.

Zawahał się chwilę, poczem postanowił wrócić do miasta i przeznaczyć pieniądze na kupienie sobie nowego ubrania, bo przecież jeszcze dużo miał czasu na to, aby szukać loków królowy Aurory.

Tym, którego kroki słyszał królewicz Lekkomysłny w oddali, był królewicz Prawy który zjawił się wkrótce przy bagnisku. Podbiegłszy do biednej bezradnej staruszki, wyciągnął ją łagodnie z błota, darując przytem większą część zawartości swojej sakiewki. Zaledwie to uczynił, gdy ku wielkiemu jego zdziwieniu, staruszka przeobraziła się w prześliczną młodą wróżkę Nadziei, trzymając wciąż jeszcze w ręku sękaty kostur żebraczy.

— Dałeś dowód, — odezwała się swoim słodkim głosem, — że posiadasz najlepsze serce z wszystkich czterech króle-

wieczów i najbardziej zasłużyłeś na to, aby Aurora została twoją żoną. Od tej chwili będę czuwać nad tobą. Weź tę łaskę i jeżeli kiedykolwiek natrafisz na jakieś przeszkody, zwracaj się do łaski tej o pomoc.

I wróżka Nadziei zniknęła tak szybko, że królewicz nie zdążył jej nawet podziękować.

Szcześliwy i pełen otuchy, królewicz Bradamor skierował się w stronę wysokiej góry, którą zamieszkiwał Duch Gór. Pod koniec miesiąca dotarł do podnóża góry. Tutaj ku swemu zdziwieniu, dostrzegł, że droga, która dotychczas była tak niewygodna i kamienista, nagle przeobraziła się w równiutką ścieżkę, po obydwu stronach zarośniętą kwiatami. Począł iść tą ścieżką, aż wreszcie doszedł do wysokiego żelaznego ogrodzenia, otaczającego górę dookoła. Przeskoczenie tego ogrodzenia było niemożliwością. Królewicz przepędził trzy dni i trzy noce, chodząc dookoła, aż przy końcu trzeciego dnia dostrzegł małą, prawie niewidoczną furtkę. Tą furtką postanowił wejść. Wkrótce to uczynił, lecz zaledwie stanął poza ogrodzeniem, wypadł z zarośli ogromny niedźwiedź, wyjąc głośno i zamierzając rzucić się na intruza.

Królewicz jednak nie przeraził się. Przypomniał sobie zaraz swą magiczną laskę i zawołał:

— Wróżko Nadziei, dopomóż mi!

Zaraz po tych słowach laska przemieniła się w ostrą szablę. Królewicz Prawy stanął spokojnie, oczekując na atak niedźwiedzia, a gdy ten nań się rzucił, kilku uderzeniami swej szabli zabił rozgniewane zwierzę na miejscu.

Podziękował królewicz dobrej wróżce za pomoc i gdy chciał oczyścić szablę z krwi niedźwiedzia, dostrzegł, że trzymał znowu w rękę laskę.

Teraz królewicz Bradamor śpiesznie począł iść przez ogród, otaczający górę. Ale im dalej szedł, tem bardziej góra oddalała się od niego. Wytłumaczenie tego zjawiska zrozumiał w kilka godzin potem, gdy dotarł do małej altanki i przeczytał napis umieszczony nad wejściem do niej:

„Dla ciebie, dzielny śmiertelniku, któryś dotarł tak daleko, lecz nie osiągnął żadnego rezultatu. Znajdziesz się bowiem w labiryncie krainy Złośliwych Duchów, z którego nie będziesz mógł się wydostać.”

W pierwszej chwili królewicz był przerażony, lecz wkrótce strach minął, skoro

przypomniał sobie swą magiczną laskę i poprosił wróżkę Nadziei o pomoc.

Po wypowiedzianej prośbie laska wyrwała mu się z ręki i nagle usłyszał wesołe szczekanie. U nóg swoich ujrzał małego białego pieska, kręcącego radośnie ogonkiem, jakby mówił:

— Chodź za mną!

Królewicz oczywiście to uczynił i po kilku godzinach znalazł się na samym końcu ogrodu, przed małą żelazną furką, którą poprzednio wszedł tutaj. Ogrodzenie w tem miejscu było tak niskie, że królewicz z łatwością mógł przez nie przeskoczyć. Chciał teraz pogłaskać owego pieska, lecz piesek zniknął mu, a królewicz miał znowu w ręku swoją magiczną laskę.

Krok za krokiem Bradamor wspinał się na stromą górę, która była coraz bardziej stroma, im wspinał się wyżej. Po kilku dniach dotarł wreszcie do małej rzeczki. Ponieważ widział wyraźnie piasek na samem dnie koryta, więc sądząc, że rzeka nie musi być głęboka, postanowił przepłynąć ją. Zaledwie jednak wstąpił do wody, fale rzeki poczęły płynąć wartko i woda wystąpiła z brzegów.

Królewicz Bradamor nie dawał jednak za wygrane, usiłując rzekę przepłynąć, prąd



jednak był tak silny, że nie mógł mu się absolutnie oprzeć i z każdą chwilą fala niosła go coraz dalej od brzegu. Wreszcie siły królewicza wyczerpały się i był już pewien, że ginie. A tu nagle przypomniał sobie swoją laskę, którą przed wskoczeniem do rzeki zatknął za pas. Chwyciwszy ją śpiesznie, wyciągnął przed siebie i zwrócił się do wróżki Nadziei o pomoc. Nagle uczuł, że jakieś niewidoczne stworzenia przenoszą go do małej łódki z pereł i koralami, która po paru minutach przybiła do brzegu. Znalazłszy się na wybrzeżu, królewicz padł na kolana, dziękując dobrej wróżce, a gdy po chwili podniósł się, ujrzał z radością, że łódka zniknęła, zaś u nóg jego leżała nieoceniona czarodziejska laska.

Ruszywszy znowu w dalszą drogę, doszedł do wysokiego muru, który otaczał samą wierzchołek góry, na której mieszkał Duch w swoim pałacu. Przepełniony szczęściem, postanowił przeskoczyć mur nie tracąc czasu na szukanie bramy. Najprzód przerzucił przez mur swoją laskę, aby mu nie zawadzała, poczem wspiął się na gładką ścianę i po chwili znalazł się w przepięknym ogrodzie.

Przy końcu alejki kwiatowej dostrzegł

młoda kobietę w bieli, idącą w jego stronę. Włosy jej były niby szczerę złoto i rozsypywały się, niby płaszcz na białą jej suknię. Kobieta ta trzymała w ręku magiczną laskę wróżki Nadziei.

Królewicz Bradamor przemówił do niej grzecznie, wyciągając rękę po laskę, która do niego należała. Ona jednak laski tej oddać mu nie chciała.

— Wiem, królewiczu, dlaczego chcesz, żebym ci zwróciła laskę. Źle czynisz, zadając sobie tyle trudu. Wiem, że przyszedłeś tutaj po loki królowny. POCO się trudzić dalej? Przecież jej loki nie mogą być piękniejsze od moich. Ja także jestem córką monarchy, posiadam wielki majątek i królestwo moje jest precudowne. Wszystko to będzie należało do ciebie, jeżeli zaniechasz dalszych poszukiwań loków Aurory.

— Dziękuję ci, o pani, — odparł królewicz, — ale słowo dane, ma dla mnie większą wartość. Obiecałem poślubić Aurorę i wrócić jej skarb zrabowany przez Ducha Gór. Umrę raczej, niż złamię mą obietnicę.

— Chcesz umrzeć? Zastanów się nad tem, co mówisz.

— Chcę umrzeć! — odparł królewicz szczerze.

— Doskonale. Osiągniesz to, coś sam wybrał.

— Rycerze potoków, — zawołała, uderzając trzy razy w dłonie, — śpieszcie pomóc swoją księżniczkę!

Na ten wojowniczy rozkaz zjawili się dwaj uzbrojeni rycerze, okryci od stóp do głów żelazną zbroją. Dobywszy szabel, rzucili się na Bradamora. Lecz królewicz nieustraszony, powstrzymał ich dumnym gestem.

— Chętnie będę z wami walczył, — rzekł, — ale zwróćcie uwagę, że nie mam broni. Dajcie mi szablę, a zmierzę się z wami.

Jeden z czarnych rycerzy tupnął nogą i nagle z ziemi wyskoczyła szabla. Rycerz pochylił się, aby podać szablę królewiczowi, lecz ten nie czekał, aż go po raz drugi przeciwnicy zaatakują. Rzucił się na nich, pokonywując obydwóch w jednej chwili.

Gdy już obydwaj rycerze leżeli na ziemi, królewicz zauważył, że szabla wypadła mu z ręki i zniknęła. Pozostały tylko na ziemi dwie szable jego przeciwników, które nagle zamieniły się w dwie laski, zupełnie takie same, jak tamta, którą otrzymał od wróżki Nadziei. Królewicz podbiegł, aby je podnieść, sądząc, że jedna z nich była jego laską, lecz w tej samej chwili z głębi ziemi,

dobyło się głośnie wycie, które po chwili ustąpiło miejsca purpurowemu płomieniowi. W płomienie te wskoczyły obydwie laski, produkując przed królewiczem jakiś dziwny nieznanym mu taniec.

Nie zastanawiając się ani chwili, królewicz Bradamor rzucił się w sam środek płomieni, lecz one zamiast spalić jego ciało, zagasły odrazu, a u stóp jego leżały znowu dwie laski, także zupełnie przez ogień nienaruszone.

— Wracasz wreszcie do mnie! — zawołał królewicz z radością, chwytając jedną z lasek.

Niestety! W gwałtownym pośpiechu nie zorientował się, która z dwóch lasek, była ową laską wróżki Nadziei. Zaledwie dotknął jednej, przemieniła się ona nagle w straszego węża, który otworzył paszczę, chcąc go zatruć swoim jadem. Zręcznym ruchem ramienia Bradamor odrzucił węża całą siłą na ziemię, a wąż uderzając łbem o kamień, zabił się, nie wyrządzając królewiczowi żadnej krzywdy.

Wówczas królewicz sięgnął po drugą laskę, lecz dostrzegł, że podczas jego walki z wężem, laska zniknęła.

Mimo to nie stracił odwagi. Ruszył w dalszą drogę, wołając:

— Wróżko Nadziei, widzę, że pragnęłaś wypróbować odwagę moją. Jeżeli jeszcze nie jesteś ze mnie zadowolona, chętnie cierpieć będę dalej pod twojemi rozkazami. Ale za żadną cenę nie zaniecham moich poszukiwań!

Zaledwie te słowa wypowiedział, uczuł, że czarodziejska laska jest znowu w jego dłoni.

— Dziękuję ci, dobra opiekunko! — zawołał radośnie. — Nigdy już nie rozstanę się teraz z tobą!

W najlepszym nastroju gotów był do dalszej drogi, lecz najprzód zatrzymał się na chwilę, aby przyjrzeć się pięknym kwiatom we wspaniałym ogrodzie. Spojrzał na nie tylko przelotnie, gdy nagle uczuł silny ból w całym ciele i ze zdziwieniem dostrzegł wielki rój chrząszczy i mrówek, oraz innych owadów, które wydostawały się z pod ziemi. Każdy z tych maleńkich żołnierzy uzbrojony był w srebrne i złote lance i lance te wszystkie skierowały się na biednego Bradamora, zadając mu dotkliwy ból. Z każdą chwilą armja powiększała się, aż wreszcie kró-

lewicz był poprostu osaczony niezliczoną ilością wrogów.

Walczył z nimi przez chwilę ze spokojem, lecz zaatakowało go takie mnóstwo kęsających owadów, a on tak bardzo cierpiał z bólu, że wreszcie zwrócił się o pomoc do swej magicznej laski. Ostatnim wysiłkiem ścisnął ją w dłoni i zawołał:

— Wróżko Nadziei, dopomóż mi!

Laska wyrwała się z jego ręki i przeobraziła się natychmiast w ogromnego motyla, który począł swemi wielkimi skrzydłami odganiać małych żołnierzyków. Kilka owadów, które zdołały się uratować, zaczęło kryć się w ziemi. A gdy walka minęła, martwe ciała zabitych wrogów utworzyły gruby kobierzec na ścieżce ogrodowej.

I wreszcie po tych wszystkich trudach królewicz Bradamor dotarł do drzwi pałacu. Wówczas ujrzał stojącego na progu Ducha Gór, owiniętego wspaniałą lwią skórą i oczekującego nań z nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

— Kim jesteś, zuchwały śmiertelniku? — ryknął Duch. — Jak śmiałeś przekroczyć bramy mego królestwa! Czego tutaj szukasz?

— Jestem królewicz Bradamor i przy-

szedłem tu, aby cię prosić o oddanie loków królowny Aurory.

— Królewiczu, — rzekł Duch, — widzę, że opiekuje się tobą ktoś silniejszy ode mnie, więc próżna byłaby wszelka walka z tobą. Jestem gotów dlatego spełnić twoją prośbę. Weź ten klucz. Otwórz nim szkarłatną szafę, znajdując się w pokoju, do którego cię zaprowadzę. Tam w buteleczce, zamienione na esencję różaną, znajdują się złociste loki, których szukasz. Wylej zawartość buteleczki na głowę Aurory, a włosy jej natychmiast odrosną i będą piękniejsze od wszystkich włosów na świecie. — Duch Gór zmarszczył brwi. — Gdy zdobędziesz już tę butelkę, wychodź stąd natychmiast! — zawołał. — Bo wówczas nie odpowiadam za siebie.

Przeszli przez wszystkie komnaty pałacowe i w pewnej chwili stanęli u ciężkich żelaznych drzwi, które Duch wielkim kluczem otworzył.

— Tutaj jest ten pokój, — rzekł.

Królewicz Bradamor nie tracił czasu. Podbiegł do szkarłatnej szafy i otworzył ją w sekundę. Na półce, przed buteleczką zawierającą różaną esencję, znajdowało się małe pudełko. Królewicz zniecierpliwiony

chwycił owe pudełko i wyrzucił je przez jedno z okien, które były w pokoju.

Właśnie to okno wychodziło na wysoki mur, otaczający pałac. I gdy pudełko zostało przez nie z niecierpliwością wyrzucone, potoczyło się po pochyłości góry i zatrzymało się dopiero u jej podnóża. Tam zostało ono znalezione przez królewicza Lekkomysłnego, który przepędziwszy dziesięć miesięcy na podziwianiu swego nowego pięknego ubrania, postanowił wyruszyć na poszukiwanie loków Aurory. U podnóża góry przystanął, niezdecydowany. Gdyby się wspiał po nierównej kamienistej drodze, z pewnością zniszczyłby zupełnie swój piękny strój. Poza tem umówiony dzień, kiedy wszyscy mieli się spotkać w pałacu króla Błękitnych Dzwonków, już się zbliżał. Poprostu czasu mu nie starczy na to, aby wdrzeć się na wierzchołek góry. Wytarłszy troskliwie chusteczką występ skały, aby ubrania nie zniszczyć, królewicz Lekkomysłny usiadł i pogrążył się w głębokiej zadumie.

I nagle u jego stóp padło pudełko, które Bradamor wyrzucił przez okno pałacu. Królewicz Lekkomysłny pochylił się, aby je podnieść i ku wielkiej swej radości, odczytał widniejący na niem napis:



„Zdumiewające piękno Etjopji”.

Oszalały z radości, nie myślał już dłużej o lokach Aurory, lecz wyruszył natychmiast w powrotną drogę do miasta, przekonany, że jego własna uroda przy pomocy czarodziejskiego daru, który wpadł w jego ręce, z pewnością zdobędzie na zawsze serce królowny Aurory.

Tymczasem w pałacu Ducha, Bradamor, stojąc przed szkarłatną szafą, śpiesznie chwycił buteleczkę z esencją różaną i chciał wyjść z pokoju jak najprędzej. Ku swemu przerażeniu, dostrzegł, że drzwi nagle zniknęły, a w tem miejscu, gdzie były przedtem, zobaczył tylko gładką żelazną ścianę,

Bezskuteczne były wszystkie wysiłki królewicza, żeby ścianę przebić. Z przeciwległej strony dosłyszał głośny śmiech Ducha Gór i jego pełne ironji słowa:

— Jesteś teraz moim więźniem i nie umkniesz mi! Zapłacisz drogo za swoją śmiałość!

Biedny Bradamor przeraził się. Na chwilę zapomniał zupełnie o swej lasce magicznej, potem nagle sobie o niej przypomniał.

— Donoś mi, droga wróżko Nardziei! — zawołał, jak mógł najgłośniej.

Małe okienko, przez które Bradamor

wyrzucił pudełko piękności, poczęło się powiększać, aż wreszcie stało się szerokiemi drzwiami. W drzwiach tych ujrzał królewicz aeroplan ze szczerego złota. Bez wahania wskoczył do aeroplanu i z szaloną szybkością, zupełnie nam, dzisiejszym ludziom nieznaną, zajechał do bram pałacu królowny Aurory.

Mówiono, że Duch Gór, wyszedłszy na balkon, aby przyjrzeć się lepiej ogromnemu ptakowi, który nad pałacem przelatywał, dostrzegł, że więzień jego uciekł i zapalał takim gniewem, że wydarł sobie wszystkie włosy z długiej siwej brody. Ponieważ cała jego siła znajdowała się w tej brodzie, więc później już nigdy nie mógł nikomu wyrządzić nic złego.

Kolorowe lampiony i pachnące kwiaty przystrajały pałac króla i królowej krainy Błękitnych Dzwoneczków. Nastął dzień powrotu czterech królewiczów. Aurora siedziała w tronowej komnacie, oczekując przybycia podróżników.

Pierwszy zjawił się królewicz Otton, zwany Chciwym. Ponieważ nie wyleczył się jeszcze ze swoich ran, zadanych przez rozbójników, wszedł do komnaty, wspierając się na kuli.

— Piękna królewno, — rzekł, całując rękę Aurory, — nie wypełniłem mego zadania, lecz praca i cierpienia, które poniosłem, dążąc do celu, uczyniły ze mnie to, co widzisz. Może twoje dobre serce złagodnieje i wynagrodzisz mi te wszystkie trudy.

— Królewiczu, — przerwał król, — bardzo nam przykro, żeś poniósł tyle trudów. Lecz zanim oddam komukolwiek rękę mej córki, muszę wysłuchać tych wszystkich młodzieńców, którzy wybrali się na poszukiwania. Spocznij łaskawie i zaczekaj.

W południe królewicz Wirgiljo, zwany Niedbałym, wszedł do tronowej komnaty. Przystanął na środku i skłonił się Aurorze, podając jej pudełko, w którym przyniósł perukę.

— Otwórz to pudełko, królewiczu! — rzekł król.

Wirgiljo otworzył, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast pięknej peruki, za którą zapłacił tak drogo, ujrzał obrzydliwą perukę z przędzy i jedwabiu w rozmaitych kolorach. Zagniewany, zajął swe miejsce, zapewniając wszystkich, że pudełko zawierało złote loki Aurory i że Duch Gór przez zemstę loki te zamienił.

Popołudniu, przybrany w swój najpięk-

niejszy strój, zjawił się królewicz Narcyz, zwany Lekomyślnym i głębokim ukłonem powitał Aurorę.

— Piękna królewno, — rzekł, — chociaż nie mogłem spełnić twego polecenia, mam jednak nadzieję, że zechcesz zostać moją żoną.

Odszedłszy na stronę, wyjął z kieszeni czarodziejskie pudełko i śpiesznie nasmarował swą twarz jego zawartością. Potem zwrócił się ponownie do Aurory, pewny, że nie zdoła się oprzeć jego nieziemskiej urodzie.

— Czy oddasz mi swą rękę, miłościwa królewno? — zapytał, przeświadczony, że nie będzie mogła mu odmówić.

Odpowiedzią na jego zapytanie, był głośny śmiech w całej sali tronowej.

— Co... ha! ha! Co się stało... ha! ha! — wołał król, nie mogąc się oprzeć wesołości.

I ująwszy Narcyza pod ramię, poprowadził go do lustra. Biedny królewicz z przerażeniem dostrzegł, że jego piękna twarz była czarna, jak heban!

— Ach, ja lekkomyślny! — zawołał i opowiedział zebranym dziwną historję znalezienia pudełka.

Król wziął z jego rąk czarodziejskie pudełko i przeczytał głośno napis:

„Zdumiewające piękno Etjopji”.

— Jakto! — zaśmiał się. — To nie wiesz, że mieszkańcy Etjopji są czarni i że dla nich najpiękniejszy jest ten, kto ma skórę czarną, jak heban!

Na rozkaz dobrego króla, pacholkiwie przynieśli wodę, mydło i ręczniki. Lecz na próżno. Twarz królewicza została czarna i po umyciu. Narcyz schował się w najodleglejszym kącie komnaty, aby nikt nie mógł widzieć jego wstydu.

Godziny mijały, a królewicz Bradamor nie nadchodził. Aurora smutna i zniecierpliwiona, usiłowała ukryć swój niepokój.

Gdy wreszcie pora oznaczona przez wróżkę Nadziei, prawie już mijała, zebrani w sali tronowej nagle usłyszeli głośny śpiew za oknem.

W kilka chwil potem do sali tronowej wszedł królewicz Bradamor, zwany Prawym. Powitawszy wszystkich grzecznie, zbliżył się do królowy Aurory i wylał na jej głowę zawartość buteleczki, którą z takim trudem odebrał Duchowi Gór. Natychmiast głowa królowy pokryła się pięknymi włosami, któ-

re niby płaszcz, w złocistych lokach spływały ku ziemi.

Podczas, gdy wszyscy spoglądali na ten cud ze zdziwieniem, sala tronowa wypełniła się brylantowem światłem i ukazała się przed królowną wróżka Nadziei, ubrana w białą suknię, połyskującą złotem i srebrem.

— Królowno Auroro, — rzekła, ujmując królewicza Bradamora za rękę, — tu jest twój mąż, jedyny młodzieniec, godzien twojej ręki.

Zwracając się z surową twarzą do królewicza Chciwego, wróżka dodała:

— Ponieważ podobne okrucieństwo i chciwość nie mogą ujść bezkarnie, pozwoliłam podczas twojej nieobecności wrogiej armji wtargnąć do twego królestwa. Zrabowano twój pałac i zabrano wszystkie twoje skarby, a gdy wrócisz, staniesz się biedniejszy od każdego z twoich poddanych.

— Ty zaś, królewiczu Niedbały, — ciągnęła dalej wróżka, — musisz być ukarany za swe lenistwo i brak serca. Gdy wrócisz do swego królestwa, zastaniesz na swym tronie następcę, odważnego i dzielnego.

Głośny płacz królewicza Narcyza zwrócił uwagę wróżki.

— Do się stało? — zapytała.

— Ach, dobra wróżko, widzisz przecież, co się stało! Ale ja nie proszę o nic, zasłużyłem na to swoim lekkomyślnem postępowaniem.

— Zmniejszasz już swoją winę tem, że się do niej przyznajesz i że wykazujesz skruchę. Jak już powiedziałam, każdy szlachetny czyn musi być nagrodzony. Chociaż nie pomogłeś biednej staruszce w lesie, przemówiłeś jednak do niej dobrotliwie i darowałeś jej większą część swego złota. Za twoją dobroć i skruchę, może kiedyś odzyskasz białą cerę, którą utraciłeś.

Na drugi dzień odbyło się wesele królowny Aurory z królewiczem Bradamorem, a błogosławieństwa udzieliła im dobra wróżka Nadziei.

---

## KRÓLOWA WÓD

Każdy, kto zna Lanillis, wie, że jest to najpiękniejsza z okolic krainy Leon. Oprócz zieleniejących łąk i złocistych pól pełnych zbóż, znajdują się tam sady, w których rosną jabłka słodsze od miodu i wielkie śliwy, na których każdy kwiat przemienia się w soczysty owoc.

W dawnych czasach, kiedy cuda były na świecie rzeczą tak codzienną, jak narodziny i zgony są dzisiaj, mieszkali w Lanillis młodzian nazwiskiem Hoarn Pogamm i dziewczyna, Bella Postik. Matki urodziły ich jednego dnia, a gdy młodzi dorośli, pokochali się gorąco wzajemnie. Rodzice ich umarli prawie jednocześnie i dwoje sierot, pozostałych prawie w zupełnej biedzie, zgo-



czło się na służbę do jednego gospodarza.

Powinni byli czuć się bardzo szczęśliwi, lecz zakochani są, jak morze, zawsze niepokojni, zawsze skarżący się.

— Gdybyśmy mieli pieniądze, żeby kupić małą krówkę i chudego prosiaka, — mówił Hoarn, — moglibyśmy wydzierżawić od naszego pana kawałek ziemi, ksiądz by nas pobłogosławił i żylibyśmy razem szczęśliwi.

— Tak, — przyznawała Bella z głębokim westchnieniem, — ale żyjemy w takich ciężkich czasach! Krowy i prosięta były o wiele droższe na ostatnim jarmarku.

— Boję się, że będziemy musieli jeszcze bardzo długo czekać — narzekał młodzieniec.

— O, bardzo, bardzo długo, — wzdychała dziewczyna.

Te narzekania powtarzały się często wreszcie Hoarn stracił cierpliwość. Przyszedł pewnego ranka do Belli, która przesiewała zboże w stodole i oznajmił jej, że udaje się na poszukiwanie majątku.

Dziewczyna bardzo się zasmuciła tą wiadomością i czyniła wszystko, aby mu ten zamiar wyperswadować, lecz Hoarn, który był młodzieńcem stanowczym, w żaden sposób nie dał się przekonać.

— Ptaszęta, — powiedział, — lecą tak długo, dopóki nie znajdą ziarna, pszczoły — dopóki nie znajdą kwiatów, które im dadzą miód, a przecież człowiek nie może mieć mniej rozumu od fruwających stworzeń. Ja także pragnę znaleźć to, o czym marzę, a marzę tylko o pieniądzach na małą krówkę i chudego prosiaka. Jeżeli mnie kochasz, Bello, to nie będziesz mnie odwodziła od zamiaru, a skoro wrócę, natychmiast się pobierzemy.

Dziewczyna zrozumiała, że musi ustąpić i chociaż serce bolało ją bardzo, rzekła do Hoarna:

— Idź z Bogiem, jeżeli uważasz, że tak być musi, lecz nim wyruszysz w drogę, pragnę się z tobą podzielić tem, co mi zostało po moich rodzicach.

Podprowadziła młodzieńca do szafy i wyjęła z niej mały dzwoneczek, nóż i pałkę.

— To są trzy przedmioty, — rzekła, — które nigdy nie opuszczają naszej rodziny. Ten mały dzwoneczek posiada dźwięk, który słyhać nawet z największej odległości. Ostrzega on przyjaciół o naszym niebezpieczeństwie. Nóż ten należał do wielkiego czarodzieja i wszystko, czego się nim dotyka

uwolnione zostaje z pod zaklęcia czarownic  
ków i złych duchów. Wreszcie pałeczka pro-  
wadzi cię wszędzie, dokąd chcesz pójść.  
Dam ci nóż, aby cię uchronić od złej mocy  
i dzwoneczek, który mnie odstrzegać będzie,  
gdy się znajdziesz w niebezpieczeństwie.  
Sama zachowam pałkę, abym mogła zawsze  
trafić do ciebie, gdy ci będę potrzebna.

Hoarn podziękował, popłakał trochę,  
gdy się z nią żegnał i wyruszył przed siebie  
w stronę gór.

Uszedłszy spory kawał drogi, dotarł do  
Pontaven, ślicznego miasteczka, zbudowane-  
go na rzece, na palach. Siedząc tam przed  
drzwiami gospody, począł się przysłuchiwać  
rozmowie dwóch ludzi, objuczających swe  
muły. Ludzie ci rozmawiali o królowej Wys-  
py. Hoarn zapytał, kogo mieli na myśli, a  
oni odrzekli, że tak się nazywała wróżka,  
żyjąca w największym jeziorze Glemans,  
która była bogatsza, jak powiadają ludzie,  
od wszystkich królów na świecie. Często  
śmiali wybierali się na wyspę, aby policzyć  
jej skarby, lecz nigdy jeszcze żaden z tych  
śmiazków nie wrócił,

Hoarn natychmiast zdecydował się na  
tę wyprawę. Dwaj ludzie usiłowali go od-  
wieść od zamiaru, zwołując wszystkich

mieszkańców miasteczka do pomocy, lecz Hoarn podziękował im za dobre serca, oznajmiając, że tylko w tym wypadku zaniecha niebezpiecznej podróży, jeżeli zbiorą między sobą tyle pieniędzy, aby mógł kupić za nie małą krowę i chudego prosiaka. Słyszając tę propozycję, odeszli, twierdząc iż jest upartym młodzieńcem i że nie mają zamiaru dłużej mu perswadować.

Hoarn udał się więc na wybrzeże morza, do domku przewoźnika, który go przewiózł na wyspę.

W samym środku wyspy znalazł bez trudu jezioro, otoczone kwitnącą trawą morską. Gdy chodził tak dookoła, dostrzegł w cieniu krzewu łódkę koloru morza, kołyszącą się na spokojnej powierzchni wody. Łódka ta posiadała kształt śpiącego łabędzia, z dziobem ukrytym pod skrzydłem.

Hoarn, który nigdy jeszcze nic podobnego w życiu nie widział, zbliżył się z ciekawością i wszedł do łódki, aby jej się przyjrzeć lepiej. Lecz zaledwie postawił nogę na dnie, łabędź przebudził się, wyjął dziób z pod skrzydeł, rozprostował swe nogi w wodzie i począł oddalać się szybko od brzegu.

Hoarn wydał okrzyk przerażenia, lecz łabędź coraz szybciej płynął do środka je-

ziora. Młodzieniec usiłował wyskoczyć z łodzi, a wówczas ptak zanurzył się do wody i pociągnął młodzieńca za sobą. Nie mogąc mówić, aby uniknąć napicia się brudnej wody z jeziora, Hoarn musiał milczeć i tak przybył do pałacu wróżki.

Pałac ten zbudowany ze skorupki orzecha, zawierał bogactwa, jakich trudno sobie wyobrazić. Wchodziło się do pałacu po kryształowych schodach, a były one zbudowane w ten sposób, że gdy się postawiło nogę na stopniu, to każdy stopień śpiewał, jak ptak leśny. Dokoła ciągnęły się olbrzymie ogrody, w których rosły całe lasy roślin morskich i rozpościerały się całe trawniki trawy morskiej, przetykane djamentami zamiast kwiatów. Wróżka siedziała na złotej kanapie w pierwszej komnacie. Miała na sobie suknię zieloną, jak morze i piękną i miękką, jak morska fala. Czarne włosy, przystrojone szpilkami z koralu, opadały jej do stóp, a twarz była delikatna, jak płatek róży.

Hoarn oniemiał na widok tego przedniego zjawiska, lecz Rusalka wstała, uśmiechnęła się doń i podeszła. Ruchy jej były podobne do ruchów białych fal, płasających po morzu, były one pełne gracji i łagodności.

— Witaj! — zawołała, zapraszając go do wejścia, — w moim pałacu jest zawsze miejsce dla obcych i pięknych młodzieńców.

Młodzieniec uspokojony, wszedł.

— Kim jesteś, skąd przybywasz i czego szukasz? — zapytała Rusalka.

— Nazywam się Hoarn, przybywam z Lanillis. Szukam pieniędzy, aby kupić małą krowę i chudego prosiaka.

— Ach, zbliż się, Hoarnie, — zawołała Rusalka, — nie przerażaj się niczem, bo będziesz miał wszystko, czego pragniesz.

Wprowadziła go do drugiej komnaty, wyłożonej perłami, gdzie na stole stało osiem rozmaitych gatunków wina i osiem kielichów z rzeźbionego srebra. Hoarn wypił po jednym kielichu z każdego gatunku, a ponieważ wino mu smakowało, więc zaczął pić nanowo. Przez cały ten czas Rusalka mówiła doń, opowiadając, że jezioro łączy się z morzem i że wszystkie pozostałości z rozbitych okrętów przynoszone tu były przez magiczny prąd.

— Ach tak, — zawołał Hoarn. — Teraz już się nie dziwię, dlaczego ludzie na wybrzeżu tak źle o tobie mówią. Bogacze zawsze mają zazdrosnych nieprzyjaciół. Co do

mnie, to prosiłbym cię tylko o połowę two-  
go majątku.

— Dostaniesz cały, jak będziesz chciał, —  
odparła Rusalka.

— W jaki sposób?

— Jestem wdową, i jeżeli mnie poko-  
chasz, zostanę twoją żoną.

Hoarn oniemiał ze zdziwienia, słysząc  
te słowa. Poślubienie Rusalki wydało mu  
się czemś niedoścignionem, tembardziej, że  
pałac był taki wspaniały! Coprawda obiecał  
ożenić się z Bellą, ale o tem zupełnie za-  
pomniał.

Odpowiedział grzecznie, że Rusalka jest  
istotą, której niktby nie potrafił odmówić  
i że z radością zostanie jej mężem.

Wówczas Rusalka oznajmiła, że pragnie  
przygotować natychmiast weselną ucztę. Na-  
kryła stół, na którym postawiła wszystko,  
co Hoarn najlepiej lubił, a oprócz tego wie-  
le innych potraw, których nie znał wcale.  
Potem podeszła do małej sadzawki przy  
końcu ogrodu i zaczęła wołać:

— Hej, tam! Adwokacie! Hej, tam!  
Młynarzu! Krawcze! Śpiewaku!

I za każdym wołaniem wypływała na  
powierzchnię ryba, którą Rusalka chwytiała  
do stalowej siatki.

Gdy siatka była pełna, Rusalka przeszła do sąsiedniej komnaty i wrzuciła wszystkie ryby do złotej patelni.

Hoarnowi jednak zdawało się, że z patelni jakieś cichutkie głosy coś szepczą.

— Kto to tak szepcze pod złotą patelnią, Rusalko? — zapytał.

— To drzewo trzeszczy, — odpowiedziała, podsycając ogień.

A w chwilę później cichutkie głosiki poczęły głośniej mrużyć.

— Kto tak mruży, Rusalko? — zapytał znów Hoarn.

— To masło skwierczy, roztopiając się na patelni, — odpowiedziała, przewracając ryby.

Wkrótce cichutkie głosy poczęły płakać.

— Kto tak płacze, Rusalko? — zapytał Hoarn.

— To świerszcz ćwierka za kominem, — odpowiedziała Rusalka i zaczęła śpiewać tak głośno, że Hoarn już nic więcej nie mógł dosłyszeć.

Nie mógł jednak zapomnieć o cichutkim płaczu i sumienie poczęło się w nim odzywać.

— Może to Bella płacze, bo o niej zapomniałem tak prędko dla Rusalki, która chyba musi być córką diabła.



Gdy tak mówił do siebie, Rusałka przyniosła smażone ryby na stół i kazała mu wziąć się do jedzenia.

Hoarn wyciągnął swój nóż z westchnieniem i zamierzał już rozpocząć jedną rybę, lecz zaledwie dotknął ostrzem złotego półmiska, wszystkie ryby poczęły się poruszać i zamieniły się nagle w małych ludków, ubranych w najrozmaitsze stroje. Był tam adwokat z szeroką wstęgą na piersiach, krawiec w fioletowych pończochach, młynarz w ubielonem ubraniu i śpiewak w szerokim płaszczu, a wszyscy poczęli krzyczeć jednocześnie, skacząc po półmisku.

— Hoarn! Ratuń nas, jeśli sam chcesz być uratowany!

— Kim jesteście? — zawołał Hoarn przerażony.

— Jesteśmy dobrymi ludźmi, takimi, jak ty, — odpowiedzieli. — Przybyliśmy na wyspę w poszukiwaniu majątku, zgodziliśmy się poślubić Rusałkę, a na drugi dzień po weselu uczyniła z nas to, co uczyniła z tych wszystkich ludzi, którzy znajdują się teraz w wielkim rybnym stawie.

— Co takiego! — zawołał Hoarn, — ona, która tak młodo wygląda, jest już wdową po tych wszystkich rybach?

— I ty niedługo znajdziesz się w tym samym stanie, oczekując na usmażenie i na zjedzenie przez jakiegoś nowego przybysza.

Hoarn podskoczył, jakby już wrzucono go na złotą patelnię i pobiegł do drzwi, myśląc tylko o tem, aby uciec przed powrotem Rusalki. Lecz Rusalka, która właśnie weszła do komnaty, słyszała całą rozmowę. Zarzuciła swą stalową siatkę na głowę Hoarna, zakłęła go w żabę i wrzuciła do rybnego stawu, gdzie znajdowali się wszyscy dotychczasowi jej mężowie. W tej samej chwili mały dzwoneczek, który Hoarn miał na szyi, począł nagle dzwonić i Bella usłyszała dźwięk jego w Lanillis, gdzie zajęta była zbieraniem wieczorowego mleka. Dźwięk dzwoneczka przejął ją niepokojem i zawołała z boleścią:

— Hoarn jest w niebezpieczeństwie!

Nie czekając już na nic i nie prosząc nikogo o radę, pobiegła szybko, przebrała się w najlepsze ubranie, wzięła ze sobą srebrny krzyżyk i opuściła farmę, mając czarodziejską palkę za przewodnika.

Stanąwszy na rozstajnych drogach, wtknęła palkę w ziemię i zawołała:

— Święty Duchu, pamiętaj o mnie!  
Pałeczko jabłoni, prowadź mnie, w krainę

słońca, w krainę wiatru, poprzez wody,  
poprzez rzeki!

Pałka natychmiast przemieniła się w rumaka osiodłanego, z jedwabną uzdą i błękitnymi pióropuszcami przy uszach.

Bella wskoczyła na siodło bez wahania. Rumak najprzód szedł stępą, potem począł iść prędzej, aż wreszcie pogalopował, mijając szybko góry, doliny, lasy i łąki, miasta i wsie i pędząc przed siebie, niby wichur. Wiedząc, że każdy krok zbliża ją coraz bardziej do Hoarna, Bella poganiała wciąż rumaka do jeszcze szybszego biegu, mówiąc:

— Koń biegnie wolniej, niż jaskółka, jaskółka wolniej, niż wichur, wichur wolniej, niż błyskawica, ale ty, mój rumaku, jeżeli mnie kochasz, musisz biec najszybciej, bo połowa mego serca cierpi dlatego, że druga połowa jest w niebezpieczeństwie.

Rumak usłuchał i począł biec jak małeńkie źdźbło słomy, gnane wichrem, to też wkrótce zatrzymali się u podnóża skały, zwanej Jelenim Skokiem.

Lecz tam przystanęli, bo żaden rumak na skałę tę wspiąćby się nie mógł. Bella, zrozumiawszy swego rumaka, zawołała:

— Święty Duchu, pamiętaj o mnie! Szybkonogi rumaku, prowadź mnie, w krainę

słońca, w krainę wiatrów, poprzez wody,  
poprzez rzekil

Gdy tylko te słowa wypowiedziała, z pod  
siodła rumaka poczęły wyrastać skrzydła  
i rumak stał się wielkim ptakiem, który ją  
zaniósł na sam szczyt skały.

Na szczycie znajdowało się gniazdo  
uwite z gliny i obrośnięte suchym mchem,  
a w gnieździe tem siedział skurczony czło-  
wieczek, czarny i pomarszczony, który za-  
czął wołać na widok Belli:

— Przyszła wreszcie piękna dziewczica,  
aby mnie uratować!

— Uratować! — zdziwiła się Bella, —  
Kim jesteś, mały człowieczku?

— Jestem Jan, mąż Rusalki z Wyspy.  
Ona mie tu zesłała.

— A co robisz w tem gnieździe?

— Wysiaduję sześć kamiennych jajek,  
a swobodę dopiero otrzymam wtedy, gdy  
jajka się wylęgą.

Bella ześmiała się mimowoli.

— Biedny mały człowieczku, — zawoła-  
ła, — i jak ja cię mam uratować?

— Uwalniając Hoarna, który znajduje  
się w mocy Rusalki.

— Ach! Powiedz mi, jak mam to zro-  
bić, a wezmę się do dzieła natychmiast.

— Musisz zrobić dwie rzeczy: przede-  
wszystkiem musisz się przedstawić Rusałce  
jako młodzieniec, a potem musisz zabrać  
jej stalową siatkę, którą zawsze nosi przy  
sobie i schwytać w nią Rusałkę, aby tam  
przebywała, aż do dnia Ostatecznego Sądu.

— A gdzież znajdę męskie ubranie,  
drogi mały człowieczku?

— Zaraz się przekonasz, moje dziecko.

Przy tych słowach mały człowieczek  
wyrwał sobie cztery włosy z głowy i zdmu-  
chnął je, mrużąc coś bardzo cichutko,  
a owe cztery włosy stały się nagle cztere-  
ma krawcami, z których pierwszy trzymał  
głowę kapusty, drugi nożyce, trzeci — igłę  
z nićmi, a czwarty — żelazko.

Wszyscy czterej usiedli dookoła gniaz-  
da ze skrzyżowanymi nogami i zaczęli przy-  
gotowywać ubranie dla Belli.

Z pierwszego listka kapusty zrobili pięk-  
ny surdut, haftowany na wszystkich szwach,  
drugi liść kapusty tworzył kamizelkę, a na-  
stępne dwa — długie spodnie takie, jak no-  
sili wszyscy w dzielnicy Leon. Z głąba ka-  
pusty zrobili krawcy kapelusze i pantofle.

Gdy Bella ubrała się w ten kostjum,  
wyglądała, jak młody chłopiec ubrany w strój

z zielonego welwetu, obramowany białym jedwabiem.

Podziękowała karłowi, który jeszcze wydał jej ostatnie polecenia i dosiadłszy swego wielkiego ptaka, frunęła na Wyspę. Tam rozkazała znowu ptakowi, aby stał się pałeczką z drzewa jabłoni i wsiadła do łabędziej łódki, którą popłynęła do pałacu Rusalki.

Na widok młodzieńca w aksamitach, Rusalka była oczarowana.

— Na wszystkie nieczyste siły!—rzekła do siebie, — stoi przede mną najpiękniejszy chłopiec, jakiego w życiu widziałam i mam wrażenie, że podobać mi się będzie chyba przez trzy dni.

Zaczęła zaraz rzucać swe uroki na Bellę, nazywając ją najczulszemi imionami. Zastawiła smacznemi potrawami stół, a Bella w pewnej chwili dostrzegła na stole nóż pozostawiony przez Hoarna. Chwyciła go ukradkiem, poczem poszła za Rusalką do ogrodu.

Rusalka pokazywała jej trawniki przytkane djamentami, fontanny z wodą lawendową, a przedewszystkiem rybny staw, w którym pływały ryby tysiąca barw.

Bella była tak zachwyciona stawem,

że usiadła na brzegu, aby się rybom przyjrzeć lepiej.

Rusałka skorzystała ze sposobności i zapytała ją, czy pragnęłaby z nią zostać nazawsze.

Bella odpowiedziała, że o niczem innym w życiu nie marzyła.

— To może zechcesz mnie zaraz poślubić?

— Owszem, ale pod warunkiem, że pozwolisz mi złowić jedną z tych ryb tą stalową siatką, którą nosisz u pasa.

Nic nie podejrzewając, Rusałka spełniła kaprys młodzieńca i podała mu siatkę, mówiąc z uśmiechem:

— Zobaczymy, piękny rybaku, co potrafisz złowić.

— Złowię diabła, — zawołała Bella, zarzucając otwartą sieć na głowę Rusałki. — Niechaj twoje ciało stanie się takie złe, jakim jest twoje serce!

Rusałka wydała tylko głośny okrzyk, który zamienił się w głuchy pomruk, bo życzenie młodej dziewczyny zostało spełnione. Piękna Rusałka wodna stała się obrzydliwą starą babą.

Bella pośpiesznie zamknęła siatkę i wrzuciła ją do studni, którą przykryła kamieniem,

znacząc na nim znak krzyża, aby nie mógł być poruszony aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Potem śpiesznie wróciła do rybnego stawu i spostrzegła że wszystkie ryby powychodziły na brzeg, aby ją powitać, niby procesja potępionych mnichów, wołających rozmaitemi głosami:

— Tu jest nasz pan i władca, który wyswobodził nas z sieci stalowej i ze złotej patelni.

— I postaram się uwolnić was z zaklęcia,— rzekła Bella, wyciągając swój nóż.

Lecz, gdy dotykała nożem pierwszej ryby, dostrzegła u swych nóg zieloną żabkę z maleńkim dzwoneczkiem u szyi, spoglądającą na nią ze łzami w oczach. Bella uczuła ból w sercu i zawołała.

— Więc to ty, więc to ty, mój Hoarnie?

— Tak, to ja! — odpowiedziała żabka, Bella natychmiast dotknęła żabkę nożem, który trzymała i ujrzała przed sobą Hoarna, który chwycił ją w objęcia, płacząc i śmiejąc się naprzemian.

Uczyliła to samo ze wszystkimi rybami, które stały się na nowo takimi samymi ludźmi, jakimi były przed zaklęciem.

Zdjawszy już zaklęcie ze wszystkich ryb,



dostrzegła piękny powóz, zaprzęzony w sześć wielkich chrabąszczy, którym u szyi zwisało sześć kamiennych jajek. W powozie tym siedział karzeł ze skały Jeleni Skok.

— Oto jestem, piękna dziewico! — zawołał. — Zdjęłaś ze mnie zaklęcie i przyjechałem, aby ci podziękować.

Zaprowadził potem Bellę i Hoarna do skrzyń Rusalki, przypełnionych drogiemi kamieniami, pozwalając im zabrać wszystko, co chcą.

Obydwoje naładowali kieszenie i kapelusze, poczem Bella rozkazała swej czarodziejskiej pałce, aby się stała skrzydlatym powozem tak dużym, aby mogła nim przewieźć wszystkich zaklętych dotychczas ludzi, do Lanillis.

Wkrótce w Lanillis ogłoszone zostały zapowiedzi Hoarna i Belli i odbyło się ich wesele. Zamiast kupić małą krowę i chudego prosiaka, Hoarn kupił całą wieś i osadził tam jako kolonistów tych wszystkich ludzi, których przywiózł z sobą z Wyspy Rusalki.

## CHŁOPIEC O DZIESIĘ- CIU OCZACH.

mieście Muszkat mieszkał chłopiec imieniem Talib, który stracił jedno oko, będąc jeszcze dzieckiem. Rodzice jego byli bardzo biedni i nie mogli posyłać go do szkoły. Dlatego też Talib większą część dnia przepędzał na zabawie z chłopcami z sąsiedztwa. Gdy wracał do domu, pomagał zawsze swej matce w gospodarstwie.

Pewnego dnia matka powiedziała:

— Mój drogi Talibie, wyrosłeś bardzo prędko. Wkrótce będziesz już dorosłym mężczyzną. Chciałabym ci dać żonę, która by odpowiadała naszemu stanowi, ale ponieważ jesteś ślepy na jedno oko, nikt ci nie odda swej córki, dopóki nie zdobędziesz

majątku. Powiedz, co masz zamiar zrobić?  
Czy poszukasz majątku, aby zdobyć żonę,  
czy też zostaniesz biednym kawalerem?

Na to Talib odpowiedział:

— Matko, nie chciałbym tak prędko  
żony. Zaczekam, aż znajdę taką, która ze-  
chce mnie poślubić takim, jakim jestem.

— To będziesz musiał czekać tak dłu-  
go, jak czeka córka naszego Imama, — za-  
śmiała się matka, — która została dotychczas  
starą panną, bo postanowiła wyjść tylko za  
człowieka o dziesięciu oczach.

— Jestem pewien, że takiego kiedyś  
znajdzie, — odparł Talib.

— Tego samego dnia ty znajdziesz dla  
siebie żonę, — zaśmiała się matka, będąc  
pewna, że zarówno księżniczka nie znajdzie  
nigdy dla siebie męża, jak Talib nie znaj-  
dzie nigdy żony.

Po kilku dniach Talib wyszedł raz na  
spacer, na ulicę. Na jednym z przedmieść  
dostrzegł tłum ludzi, zebrany dokoła dwóch  
mężczyzn, z których jeden odczytywał jakieś  
ogłoszenie, a drugi uderzał w wielki bęben,  
aby zwrócić uwagę przechodniów. Ogłosze-  
nie było następujące:

„Imam Muszkatu będzie wdzięczny te-  
mu, kto mu przedstawi młodzieńca o dzie-

sięciu oczach, którego pragnie uczynić swoim zięciem. Wszystko jedno, na jakim ten młodzieniec będzie stanowisku. Czy będzie bogaty, czy biedny, wysoki, czy niski, piękny, czy brzydki, zostanie natychmiast przyjęty przez Imama i jego córkę, byleby tylko posiadał dziesięć oczu”.

Talib wystąpił z tłumu i rzekł:

— Jestem gotów przedstawić Imamowi Muszkatu młodzieńca, którego sobie życzy. Zaprowadźcie mnie do niego.

Człowiek, który odczytywał ogłoszenie, zaprowadził go do Imama, który przyjął go z powagą i wszczął z nim długą rozmowę.

W trakcie tej rozmowy Talib zapytał Imama:

— Czy księżniczka jest wykształcona?

Imam, chcąc przedstawić swą córkę w jak najlepszym świetle, podał Talibowi długi spis wszelkich nauk i sztuk, w których jego zdaniem celowała.

Wówczas rzekł Talib do Imama:

— Musisz na chwilę pozostawić nas sam na sam z księżniczką, bo inaczej nie będę ci mógł przedstawić tego młodzieńca, którego pragniesz poznać.

Imam spełnił życzenie Taliba.

Talib zwrócił się do księżniczki stojącej po drugiej stronie kotary i rzekł:

— Księżniczko, czy znasz arytmetykę?

— Znam doskonale, — odpowiedziała księżniczka.

— A jeżeli dam ci dowód arytmetyczny, że mam dziesięć oczu, czy przyjmiesz mnie za męża? — zapytał Talib.

— Z przyjemnością, — odparła księżniczka.

— I nie będziesz czyniła żadnych niepotrzebnych sprzeciwów? — zapytał Talib.

— Absolutnie żadnych, — odpowiedziała księżniczka, — jeżeli udowodnisz mi, że masz dziesięć oczu.

Wówczas rzekł Talib:

— Weź kawałek pergaminu, odsuń tę kotarę na chwilę i patrząc uważnie w moje oczy, zapisuj, co ci powiem.

Księżniczka wzięła pergamin i odsunawszy kotarę, spojrzała w jego oczy.

— Teraz, — rzekł Talib, — widzisz, że jedno moje oko jest zdrowe. Jak je oznaczysz arytmetycznie?

— Jako cyfrę „jeden”, — odpowiedziała księżniczka.

— Dobrze! — rzekł Talib. — Napisz jedynkę.

Księżniczka napisała.

Wówczas Talib rzekł:

— Widzisz, że drugiego oka nie mam. Powiedz teraz, jak oznaczysz to arytmetycznie?

— Cyfrą „zero”,—odpowiedziała księżniczka ze zdziwieniem.

— Dobrze! — rzekł Talib. — Napisz zero. Księżniczka napisała.

— Teraz, — rzekł Talib, — piękna księżniczko, bądź tak dobra i odczytaj liczbę moich oczu tak, jak ją zapisałaś arytmetycznie.

— Dziesięć, — rzekła przerażona księżniczka.

— Daj mi swoją rękę, — poprosił Talib, a księżniczka podała mu rękę, bo już zmęczona była tak długim oczekiwaniem na męża.

Imam bardzo był zdziwiony, że córka jego wybrała sobie męża z jednym okiem, bo przecież przez cały czas twierdziła, że poślubi tylko takiego, który będzie miał dziesięć oczu.

Ale księżniczka wytłumaczyła ojcu, że Talib posiada w rzeczywistości dziesięć oczu.

Imam wysłuchał tłumaczenia i przyjął Taliba za swego zięcia, gdyż i on był już bardzo zmęczony długim poszukiwaniem męża dla swej kapryśnej córki.

## SŁUŻEK — NIEWOLNIK.

Był raz wysoko urodzony książę, który jednak nie lubił siedzieć w domu. Wędrował więc po świecie i gdziekolwiek zawitał, wszędzie przyjmowany był radośnie przez ludzi, bo był bardzo bogaty. Znajdował od razu przyjaciół i znajomych wszędzie, gdziekolwiek się zwrócił. Lecz, gdy wydał już prawie wszystkie swoje pieniądze, poczęło mu się dźiać gorzej i wreszcie pozostał zupełnie bez grosza. Razem z pieniędzmi, odeszli od niego wszyscy przyjaciele, widząc, że im już nic dać nie może. Jednem słowem książę postanowił wrócić do domu jako zupełnie biedny wędrowiec, prosząc przechodniów o jałmużnę.

Aż raz wieczorem znalazł się w gęstym

lesie, nie wiedząc zupełnie, gdzie ma noc przepędzić, gdy nagle rozejrzawszy się dookoła, spostrzegł małą chatkę, sterczącą z pośród zarośli. Oczywiście, taka stara chatka nie była odpowiednim mieszkaniem dla wysoko urodzonego księcia, ale przecież, gdy nie mamy tego, co chcemy, musimy się zadowolnić tem, co mamy, a ponieważ książę nie miał innej rady, więc wszedł do starej starej pochylonej chatki. W chatce nie było nawet kota, ani stołka, na którym mógłby usiąść. Tylko pod ścianą stała wielka skrzynia. Co mogło być w tej skrzyni? Może było tam kilka bochenków chleba? Ten chleb smakowałby teraz bardzo księciu, bo przez cały dzień nic nie jadł.

Książę podszedł do skrzyni i otworzył ją. Lecz w skrzyni była druga skrzynia, a w tej skrzyni — jeszcze jedna skrzynia i tak dalej, jedna mniejsza od drugiej, aż wreszcie otworzywszy te wszystkie skrzynie, ujrzał małe pudełko. Im więcej tych pudełek było, tem z większą ciekawością książę je otwierał, bo pomyślał sobie, że musi tam być coś cennego, skoro tak starannie jest schowane.

Wreszcie dotarł do małego pudełeczka, a w pudełeczku tem znalazł skrawek papieru i to okazało się jedyną zawartością



skrzyknął. W pierwszej chwili książę był bardzo rozczarowany, lecz nagle zauważył jakiś napis na skrawku papieru i przyjrząwszy mu się bliżej, zaczął odczytywać pojedyncze słowa. Wreszcie przeczytał głośno:

— Służku, mój niewolniku!

Zaledwie to wypowiedział, gdy nagle jakiś głos wyszeptał mu do ucha:

— Co mój pan rozkaże?

Książę rozejrzał się, lecz nie dostrzegł nikogo.

— Dziwne, — pomyślał, a po chwili jeszcze raz głośno powtórzył:

— Służku, mój niewolniku!

Odpowiedź była taka sama, jak przedtem:

— Co mój pan rozkaże?

— Jeżeli jest ktoś, kto mnie słyszy, to chyba będzie taki dobry i przyniesie mi coś do jedzenia, — rzekł książę, a w tej samej chwili w chacie zjawił się stół, zastawiony wszelkimi dobrymi rzeczami, jakie tylko sobie można wyobrazić. Książę zaraz wziął się do jedzenia i picia.

— Nigdy jeszcze nie miałem wspanialszej uczyty w życiu. pomyślał, a gdy zaspokoił zupełnie głód, stał się nagle senny i wyjąwszy z kieszeni skrawek papieru, przeczytał:

— Służku, mój niewolniku!  
— Co mój pan rozkaże?  
— Teraz, kiedy mi już przyniosłeś jedzenie i picie, musisz mi przynieść jeszcze łóżko, w którym mógłbym się przespać. Ale musi to być łóżko wspaniałe, — rzekł książę.

Rozkaz jego został natychmiast spełniony i tak wspaniałe łóżko stanęło w chacie, że nawet król chętnieby się na niem przespał. Teraz właściwie wszystko było już w porządku, ale przecież, gdy się ma dobrze, pragnie się mieć jeszcze lepiej, to też, gdy książę położył się do łóżka, doszedł do wniosku, że chata była zbyt stara i zniszczona w porównaniu z tem wspaniałem łóżem. Sięgnął więc po skrawek papieru i przeczytał:

— Służku mój niewolniku!  
— Co mój pan rozkaże?  
— Jeżeli mogłeś przygotować taką ucztę i sprowadzić takie łoże do gęstego lasu, to musisz teraz dać mi lepszy pokój, bo wiesz, że jestem przyzwyczajony sypiać w pałacu, o lustrzanych ścianach, o podłogach wyłożonych złotym brokatem i wszelkich innych luksusach.

Nim zdążył wypowiedzieć te słowa, znaj-

dował się już w tak wspaniałej komnacie, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widział.

Teraz czuł się już zupełnie zadowolony i odwróciwszy się twarzą do ściany, zamknął oczy.

Lecz komnata, w której spał, nie była ostatniem jego życzeniem. Gdy zbudził się następnego ranka, zauważył, że znajduje się w wielkim pałacu. Było tam mnóstwo komnat i gdziekolwiek wszedł, ściany i sufity pokryte były ornamentami i malowidłami rozmaitych stylów, a wszystko tak wspaniale błyszczało, że gdy promienie słoneczne padały na ściany, księżę musiał przymykać oczy, bo wszędzie, gdzie tylko spojrzął, wszystko połyskiwało złotem i srebrem. Gdy wyjrzał przez okno, przekonał się, że i przed pałacem było pięknie. Zniknęły gdzieś sosny i krzewy jałowca, a na ich miejsce zjawił się cudowny ogród, przepelniony pięknymi drzewami i kwiatami rozmaitych gatunków. Lecz nigdzie nie było żywej duszy, nawet kota. Księżę zrozumiał, że to wszystko było całkiem naturalne i postanowił raz jeszcze zostać możliwym panem.

Wyjął z kieszeni skrawek papieru i przeczytał:

— Służku, mój niewolniku!

— Co mój pan rozkaże?

— Teraz kiedy mnie zaopatrzyłeś w jedzenie i pałac, w którym mieszkam, zamierzam zostać w nim tutaj, bo mi się tu podoba, — rzekł książę, — ale nie mogę przecież żyć tak samotnie. Muszę mieć lokajów i pokojówki, którzyby czekali na moje rozkazy.

Tak się stało. Lokaje i pokojówki zjawili się w jednej chwili, niektórzy z nich składali głębokie ukłony, niektórzy stali nieruchomo i wreszcie książę odczuł zupełne zadowolenie.

Tak się jednak zdarzyło, że pałac królewski znajdował się po przeciwnej stronie gęstego lasu, otoczony wielką połacią pól i łąk. A gdy król pewnego razu wyjrzał przez okno, dostrzegł nowy pałac, na dachu którego powiewała złota chorągiewka, a promień słoneczny padający na nią, raził oczy króla.

— To dziwne, — pomyślał i przywołał swych dworzan.

Przyszli natychmiast, kłaniając się i szurgając nogami.

— Czy widzicie ten pałac? — zapytał król.

Gdy patrzyli, oczy ich stały się tak duże i okrągłe, jak spodeczki.

Tak, istotnie, pałac widzieli.

— Kto ośmielił się wybudować pałac na mojej ziemi?

Dworzanie skłonili się i szurgnęli znowu nogami, ale żaden z nich nie wiedział. Wówczas król przywołał swoją gwardję przyboczną. Weszli, dzwoniąc ostrościami i prezentując broń.

— Wyślijcie wszystkich żołnierzy i jeźdźców, — rozkazał król, — zrównajcie pałac z ziemią i powieście tego, który go wybudował. Zajmijcie się tem natychmiast.

Żołnierze zebrali się pośpiesznie i wyruszyli. Trębacze zatrąbili w swe trąby, dobosze zabębniłi w swe bębny, a inni muzykanci zagrali na swych instrumentach. Książę słyszał zbliżających się żołnierzy, chociaż ich jeszcze nie widział. Lecz nie po raz pierwszy słyszał taką muzykę, to też wiedział, co ona oznaczała i sięgnął po skrawek papieru, z którego odczytał:

— Służku, mój niewolniku!

— Co mój pan rozkaże?

— Żołnierze nadchodzą, — rzekł książę, — więc teraz musisz mnie zaopatrzyć również w żołnierzy i jeźdźców, abym miał dwa

Razy tyle wojska, ile jest po tamtej stronie lasu. Musisz mnie zaopatrzyć w szable i pistolety, w karabiny i armaty, byle tylko szybko!

Rozkaz natychmiast został spełniony, a gdy książę wyrwał przez okno, dostrzegł cały oddział żołnierzy otaczający pałac.

A gdy wojsko królewskie przybyło, zatrzymało się, nie mając odwagi przeciwników zaatakować. Książę jednak nie był człowiekiem nieśmiałym. Poszedł natychmiast do królewskiego kapitana i zapytał, czego sobie życzy.

Kapitan powtórzył otrzymane polecenie.

— Nic nie zdziałacie, — rzekł książę. — Widzicie przecież, ilu mam żołnierzy, a jeżeli król zechce mnie wysłuchać, możemy pogodzić się i zostać przyjaciółmi. Będę go chronił przed wszystkimi jego wrogami i cokolwiek razem przedsięweźmiemy, odnieście pomyślne rezultaty.

Kapitan zadowolony był z tej propozycji, a książę zaprosił go do pałacu ze wszystkimi oficerami i żołnierzami, których przyjął gościnnie, zastawiając stoły jedzeniem i piciem.

Podczas jedzenia, prowadzono ogólną rozmowę i z rozmowy tej książę dowiedział

się, iż król ma córkę niezamężną, a tak piękną, że drugiej takiej niema na całym świecie. I im gościnniej częstował oficerów, tem mocniej utwierdzali go w mniemaniu, że córka króla byłaby dlań wymarzoną żoną. Książę już też poważniej zaczął o tem myśleć. Najgorsze to, twierdzili oficerowie, że królewna jest bardzo dumna i nigdy nawet nie spojrzy na żadnego mężczyznę. Ale książę się roześmiał.

— Jeżeli niema żadnej gorszej wady,— rzekł, — to tę wadę będzie można wyleczyć.

Gdy wreszcie żołnierze zabrali z sobą tyle wszystkiego, ile tylko mogli, poczęli wznosić głośne okrzyki na cześć księcia i odmaszerowali. Książę prosił ich, aby pozdrowili od niego króla i zakomunikowali, że wkrótce złoży mu wizytę.

A gdy Książę został sam, począł znowu myśleć o królewnie, zastanawiając się, czy była istotnie tak piękna, jak o niej mówili żołnierze. Postanowił sam się o tem przekonać. Skoro tak wiele dziwnych rzeczy zdarzyło się tego dnia, to przecież chyba i to będzie możliwe, myślał.

Sięgnął do kieszeni po czarodziejski skrawek papieru i przeczytał głośno:

— Służku, mój niewolniku!

— Co mój pan rozkaże?

— Chcę tylko, abyś sprowadził tu córkę króla, jak tylko zaśnie, — rozkazał książę. — Ale uważaj, aby się nie zbudziła ani po drodze, ani też wówczas, gdy ją będziesz odstawiał z powrotem.

I wkrótce w pałacu księcia zjawiała się królowna. Spała spokojnie i wyglądała czarująco, leżąc w swoim wspaniałem królewskim łożu. Książę począł ją oglądać ze wszystkich stron, lecz ona była zarówno piękna z jednej, jak i z drugiej strony i im dłużej książę na nią spoglądał, tem wydawała mu się piękniejsza.

— Służku mój niewolniku! — zawołał książę, gdy napatrzył się już na królownę dosyta.

— Co mój pan rozkaże?

— Musisz odstawić królownę z powrotem do domu, — rzekł książę, — bo już wiem, jak wygląda i jutro oświadczę się o jej rękę,

Nazajutrz rano król znowu podszedł do okna swej komnaty.

— Teraz nie będę już miał wreszcie widoku na ten pałac, — pomyślał.



Ale widocznie czart przykładał do wszystkiego rękę, bo oto pałac stał na tem samym miejscu, co przedtem, a słońce świeciło jasno, odbijając się w jego błyszczącym dachu i w powiewającej chorągiewce, która raziła króla w oczy.

Król tym razem popadł w jeszcze większy gniew i przywołał wszystkich swych dworzan, którzy zjawili się w królewskiej komnacie pośpiesznie. Dworzanie skłonili się i szurgnęli nogami, żołnierze przemaszerowali przed królem i zaprezentowali broń.

— Czy widzicie ten pałac? — zawołał król.

Dworzanie wyciągnęli szyje, otworzyli szeroko oczy, które stały się tak duże i okrągłe, jak spodeczki i patrzyli.

Tak, istotnie, widzieli.

— Czyż nie kazałem wam zrównać pałacu z ziemią i powiesić tego, który ten pałac wybudował? — zwrócił się król do dworzan.

Temu nie mogli zaprzeczyć. Lecz w tej samej chwili z szeregu wystąpił kapitan i opowiedział wszystkie szczegóły swej wizyty w pałacu księcia, wspominając o wielkiej ilości wojska, które tam zastał i o tem, jak

wspaniałe pałac był urządzony.

Później powtórzył również to wszystko, o co go książę prosił, załączając jednocześnie pozdrowienia, przywiezione dla króla.

Opowiadanie to oszołomiło nieco króla. Zdjął koronę z głowy, położył ją na stole i przetarł ręką czoło. Chociaż był królem, to jednak to wszystko było dlań zupełnie niezrozumiałe, Mógłby przysiąc, że pałac został wybudowany w ciągu jednej nocy, więc jeżeli książę nie był djabłem, to musiał być chociaż czarodziejem.

I gdy tak siedział i rozmyślał, do komnaty weszła królowna.

— Dzień dobry, ojczy, — zawołała. — Miałam tej nocy bardzo dziwny, lecz przyjemny sen.

— A o czem śniłaś, moja dziewczeczko? — zapytał król.

— Śniłam, że znajdowałam się w nowym pałacu, za lasem i że był tam książę, piękny i możny, piękniejszy od tych wszystkich, których w życiu widziałam. Musisz mi znaleźć męża, ojczy.

— Co takiego, chcesz mieć męża? A przecież dotychczas nigdy nie chciałaś nawet spojrzeć na mężczyznę. To bardzo dziwnie! — kiwał głową król.

— Ale teraz zmieniłam postanowienie,  
— odparła królowna, — i chcę mieć męża, a  
książę jest właśnie tym, którego bym pra-  
gnęła.

Król poprostu nie mógł wyjść z podzi-  
wu i nie umiał znaleźć rady na to wszystko,  
co go zaskoczyło tak nagle.

Wtem usłyszał odgłos bębnow, dźwięki  
trąb i wszelakich innych instrumentów. Na-  
deszła wiadomość, że przybył książę z wiel-  
ką świtą, a każdy z jego przybocznych ry-  
cerzy lśnił złotem i srebrem.

Gdy książę wszedł do pałacu, król w  
swej koronie i najpiękniejszym płaszczu  
wyszedł na jego spotkanie. Królowna temi  
odwiedzina mi była bardzo uradowana, bo  
przecież urzeczywistniały się jej najgorętsze  
marzenia.

Książę powitał króla uprzejmie, król  
zaś odwzajemnił mu się takim samym po-  
witaniem i rozmawiając o rozmaitych rze-  
czach, stali się wkrótce serdecznymi przyja-  
ciółmi. Wyprawiono wielką ucztę, a książę  
zasiadł przy stole przy boku królowny. Nie  
wiem, o czem z sobą mówili, lecz książę  
umiał rozmawiać ciekawie i po skończonej  
uczcie poszedł do króla, prosząc o rękę jego  
córkę. Król nie mógł odmówić, bo książę

był takim człowiekiem, którego lepiej mieć za przyjaciela, niż za wroga. Nie chciał jednak król dać odpowiedzi odrazu. Najprzód pragnął zobaczyć pałac księcia i przekonać się na własne oczy, czy to wszystko, o czem słyszał, było prawdą.

Postanowiono więc, że król z królowną złożą wizytę księciu, aby królowna mogła zwiedzić książęcą majątność. Z tem się pożegnali.

Gdy książę wrócił do domu, Służek Niewolnik miał dużo do roboty, spełniając wszystkie rozkazy swego pana. Lecz wkrótce rozkazy te zostały pomyślnie spełnione i gdy król przyjechał z królowną, oniemiał na widok tych wszystkich bogactw, których żadne pióro nie zdołałoby opisać. Król chodził po wszystkich komnatach i rozglądał się, a każda rzecz bardziej mu się podobała od poprzedniej. Wszystko było wspanialsze nawet, niż król przypuszczał, to też uradowany był ogromnie.

Wyprawiono huczne wesele, a po weselu książę wrócił z młodą swą żoną do swego pałacu, w którym znów wspaniałą ucztę wyprawił.

Czas mijał, aż pewnego dnia książę usłyszał zwrócone do siebie zapytanie:

— Czy mój pan jest teraz zadowolony?

Pytanie to zadał Służek Niewolnik, który znajdował się w komnacie, choć książę nie mógł go widzieć.

— Jestem bardzo zadowolony, — odpowiedział książę, — bo dostarczyłeś mi wszystkiego, czego pragnąłem.

— A co ja za to dostanę? — zapytał Służek Niewolnik.

— Nic, — odpowiedział książę. — Cóżbym ci mógł dać, skoro nie jesteś istotą z ciała i kości i skoro cię nigdy nie mogę zobaczyć? Jeżeli jednak istnieje coś, co mógłbym zrobić dla ciebie, to powiedz mi, a chętnie spełnię twoje życzenie.

— Chciałbym, żeby mi mój pan podarował ten skrawek papieru, który znalazł w skrzyni, — zawołał Służek Niewolnik.

— Jeżeli to jest wszystko, czego pragniesz i jeżeli ten dar może cię zadowolnić, mogę ci oddać ten skrawek papieru, bo już na pamięć znam te czarodziejskie słowa — powiedział książę.

Służek Niewolnik podziękował i poprosił księcia, aby ów skrawek papieru położył na krześle przy łóżku, a on podczas nocy skrawek ten sobie zabierze.

Książę uczynił to, poczem położył się do łóżka i zasnął.

Lecz nad ranem zbudził się zziębnięty, szcękając zębami i gdy otworzył oczy, dostrzegł, że został ze wszystkiego ograbiony i miał na sobie tylko jedną koszulę. Zamiast znajdować się we wspianiałem łożu, stojącym w bogatej sypialni. przekonał się, że leży na wielkiej skrzyni, w starej, brudnej chacie. Wówczas nie zwlekając, zawołał:

— Służku, mój niewolniku!

Nie było żadnej odpowiedzi.

Wtedy książę powtórzył głośniej:

— Służku, mój niewolniku!

Znowu nie było odpowiedzi, więc zawołał jeszcze głośniej:

— Służku, mój niewolniku! — ale i tym razem wołał napróżno.

Zrozumiał wreszcie, co się stało, zrozumiał, że Służek Niewolnik, zdobywszy ów skrawek papieru, przestał mu służyć. A więc sam książę spowodował to swoje powtórne ubóstwo. Wróciło wszystko do tego czem było dawniej i książę znalazł się znowu w starej chacie, mając tylko koszulę na sobie. Królownie, jego żonie, nie działa się lepiej, chociaż pozostały na niej wspianiałe szaty,

otrzymane od ojca, których Służek Niewolnik nie miał prawa zabrać.

Teraz księżę wytłumaczył wszystko królownie i prosił ją, aby go opuściła, bo wiedział, że nigdy już nie odzyska swego bogactwa. Królowna jednak nie chciała tego uczynić. Widocznie pamiętała lepiej przysięgę, złożoną księdzu, który im ślub dawał. Przysięgała przecież wówczas, że nigdy swego męża nie opuści.

Tymczasem król zbudził się w swym pałacu i gdy podszedł do okna, nie dostrzegł już wspaniałego pałacu, w którym jego zięć i córka mieszkali. Zaniepokoił się tem wielce i przywołał swych dworzan.

Przyszli, kłaniając się i szurgając nogami.

— Czy widzicie pałac po przeciwnej stronie lasu? — zapytał król.

Wyciągnęli szyje i otworzyli szeroko oczy, ale nic dostrzec nie mogli.

— Co się z nim stało? — zapytał król.

I na to pytanie dworzanie nie umieli odpowiedzieć.

Król więc w towarzystwie całego swego dworu postanowił pojechać i przekonać się, a gdy stanęli na miejscu, w którym był pałac, otoczony pięknym ogrodem, dostrzegli

tylko krzewy jałowca i kilka zeschniętych sosen. Z pośród zarośli sterczała małe, pochylona chatka. Król wszedł do chaty, ale, o dziwo! co w niej zobaczył?

Zobaczył w niej swego zięcia w jednej tylko koszuli i swą córkę, która gorzko płakała.

— Na miłość boską, co się tu stało? — zawołał król.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi, bo książe wolałby raczej umrzeć, niż opowiedzieć królowi tę całą historję.

Król począł dopytywać, najprzód przyjaźnie, a potem z gniewem. Książe jednak był niewzruszony i nie chciał powiedzieć ani słowa. Wówczas król rozgniewał się jeszcze bardziej, bo przekonał się, że ten wielki książe nie był jednak tym, za którego się królowi przed ślubem przedstawił i kazał go powiesić i to powiesić natychmiast.

Królowa poczęła błagać króla o litość, lecz łzy i prośby nic nie pomogły, bo książe okazał się oszustem i jak oszust powinien był umrzeć.

Tak się też stało. Dworzanie królewscy zbudowali szubienicę i opasali grubym sznurem szyję księcia. Lecz, gdy prowadzili go na stracenie, królowa podbiegła do kata,



dała mu sakiewkę ze złotem, wzamian zaco kat miał tak wszystko urządzić, aby książę nie umarł. Z nadejściem wieczoru kat miał wrócić, odciąć księcia i dopomóc mu do ucieczki wraz z królowną. Gdy księcia wreszcie powieszono, król wraz z całym swoim dworem odjechał.

Książę wisiał w ten sposób, że dotykał nogami ziemi. Miał teraz dość czasu, aby myśleć o tych wszystkich błędach, które popełnił i o największym swym błędzie, kiedy oddał ów skrawek papieru Służkowi Niewolnikowi.

— Gdybym mógł zdobyć ten skrawek papieru z powrotem, pokazałbym wszystkim, że nieszczęście nauczyło mnie rozumu, — myślał biedny książę.

Lecz, gdy koń zostaje skradziony, zamykamy zazwyczaj drzwi stajni. Taki już jest porządek świata.

Dzień ten wydał się księciu wielkiem, to też z radością powitał zachód słońca. Lecz, gdy słońce ukryło się za lasem, książę usłyszał nagle głośny okrzyk: „Hop! hop!”, a gdy spojrział nadół, ujrzał siedem wozów, napełnionych podartymi butami. Na samym szczycie ostatniego wozu jechał mały, siwy staruszek w wysokim kapturze na głowie.

Staruszek podjechał do szubienicy, zatrzymał się, spojrział w górę na wiszącego na sznurze księcia i zaśmiał się głośno.

— Czy istnieją granice twojej głupoty?— zapytał. — A co ma taki człowiek, jak ty, zrobić ze swoją głupotą, skoro nie może mieć z niej żadnego pożytku? — i zaśmiał się znowu. — Teraz wiesz tutaj, a ja wiozę te wszystkie buty, które zniszczyłem, spełniając twoje głupie rozkazy. Czasami nawet dziwię się, żeś umiał przeczytać to, co było napisane na skrawku papieru.

Zaśmiał się znowu nieprzyjemnym głosem, powiewając skrawkiem papieru tuż koło nosa księcia.

Ale nie wszyscy, wiszący na szubienicy, nie żyją, więc i tym razem Służek Niewolnik omylił się i okazał się większym głupcem od samego księcia.

Księżę wyciągnął rękę i wyrwał mu ów tajemniczy skrawek papieru, poczem zawołał:

— Służku, mój niewolniku!

— Co mój pan rozkaże?

— Odetnij mnie z tej szubienicy natychmiast i wybuduj na nowo pałac taki, jaki był dawniej. A gdy noc nadejdzie, sprowadź mi tutaj królową.

Wszystko zostało spełnione z nadzwyczajnością.

czajną szybkością i wkrótce zdawać się mogło, że pałac z ogrodem nigdy stąd nie zniknął.

Gdy nazajutrz rano król się obudził i wyrzął, jak zwykle przez okno, pałac już stał na swoim miejscu, a w powiewającej na dachu chorągiewce odbijały się promienie słońca.

Król przywołał swych dworzan, którzy skłonili mu się nisko i szurgnęli nogami.

— Czy widzicie tam pałac? — zapytał król.

Wyciągnęli szyje, patrzyli i dziwili się.

Tak, istotnie, widzieli pałac wyraźnie.

Wówczas król posłał po królownę, ale nigdzie jej nie można było znaleźć. Kazał król jednemu ze swych dworzan pójść na miejsce stracenia i przekonać się, czy księżę wisi na szubienicy. Ale dworzanin wrócił z wiadomością, że ani szubienicy, ani wiszącego księcia nie znalazł,

Król znowu zdjął koronę, położył ją na stole i przetarł ręką czoło. Chociaż już od tak dawna królował w swym kraju, nigdy jeszcze nic podobnego mu się nie przytrafiło. Wreszcie wyruszył sam z całym swym dworem na zwiady, a gdy dotarli do miejsca, gdzie poprzedniego dnia wybudowano szu-

bienicę, ujrzeni wspaniały pałac księżęcy.

Kwiaty w ogrodzie były tak samo piękne, jak przedtem i takie same były, pokryte zielenią drzewa. Zięć królewski w towarzystwie królewskiej córki, ubranej w najpiękniejsze szaty, wyszedł na spotkanie gości.

— Djabeł musiał przyłożyć do tego rękę, — pomyślał król, a wszystko to wydało mu się tak dziwne, że poprostu własnym oczom nie wierzył.

— Witaj nam, ojcze! — zawołał książe.

Król przyglądał się swemu zięciowi ze zdziwieniem.

— Czy naprawdę jesteś moim zięciem? — zapytał.

— Naturalnie, — odpowiedział książe, — kim innym mógłbym być?

— Czyż nie powiesiłem cię wczoraj na szubienicy jako oszusta? — zapytał znów król.

— Naprawdę nie wiem, co ojcu przychodzi na myśl, — zaśmiał się książe. — Czyż ojciec myśli, że tak łatwo dałbym się powiesić? Czy istnieje ktoś na świecie, kto by ośmielił się podobną rzecz uczynić? — mówiąc to, patrzył na dworzan, a oni chylili głowy pod wpływem jego surowego wzroku.

— Kto mógłby sobie taką rzecz wyo-

brazić? — zapytywał księżę coraz bardziej gniewnie. — Czyżby to było możliwe? Jeżeli jest ktoś, kto ośmieli się powiedzieć, że król źle mi życzy, to niechaj oznajmi mi o tem zaraz.

I spojrział na dworzan jeszcze z większą surowością, a oni pochylili głowy, złożyli ukłon głęboki i szurgnęli nogami.

Ktoby z nich śmiał istotnie, powiedzieć coś takiego księciu?

Teraz król już sam nie wiedział, co ma o tem wszystkiem myśleć. Gdy patrzył na księcia, był pewny, że nie potrafiłby mu nigdy wyrządzić żadnej krzywdy, a jednak to wszystko dalej wydawało mu się bardzo dziwne.

— Czyż nie byłem tu wczoraj i czyż na miejscu tego pałacu nie stała stara chatka? Czyż nie wszedłem do tej chaty i nie zastałem cię w niej, okrytego tylko koszulą? — zapytał król.

— Co też ojciec mówi! zawołał księżę. — Lękam się, bardzo się lękam, że jakieś złe duchy ojca zwiody i zaprowadziły wgląb lasu. Jak myślicie? — zwrócił się do dworzan.

Dworzanie skłonili się nisko, szurgnęli nogami i przyznali księciu rację.

Król przetarł oczy i rozejrzył się.

— Widocznie jest tak, jak mówisz, — powiedział do księcia, — może dopiero teraz odzyskałem rozum i przejrzałem na oczy. Byłoby to z mojej strony grzechem i hańbą, gdybym cię chciał powiesić.

I król odzyskał dobry humor, przestając myśleć o swych dziwacznych urojeniach.

Księżę zaczął teraz prowadzić żywot całkiem inny, zajmował się sam wielu rzeczami i dbał o to, aby Służek nie niszczył tyłu par butów. Król wkrótce oddał mu połowę swego królestwa, gdzie księżę miał bardzo dużo do roboty, a poddani chwalili go i mówili, że nigdy jeszcze nie mieli rozumniejszego i litościwszego monarchy.

Aż pewnego dnia stanął przed księciem Służek Niewolnik, zginając się w kornym ukłonie.

— Pan mój nie potrzebuje już dłużej mojej pomocy, — powiedział. — Dawniej niszczył dużo par butów, a teraz jednej pary znosić nie mogę i jak tak dalej pójdzie, nogi moje zarosną mchem. Możeby mnie pan mój zwolnił z pracy?

Księżę pomyślał, że istnieje Służek Niewolnik już mu nie jest potrzebny.

— Chciałem ci oszczędzić trudu i na-

prawdę mógłbym się już bez ciebie obyć, —  
odparł. — Ale tego pałacu i tych wszystkich  
bogactw nie pozbędę się za żadną cenę, bo  
niktby mi pałacu nie potrafił tak, jak ty wy-  
budować. Pozatem nie chciałbym po raz  
drugi wisieć na szubienicy. Dlatego też nie  
ludź się nadzieją, że otrzymasz ode mnie  
ów skrawek papieru.

— Dopóki jest on w posiadaniu mego  
pana, — skłonił się znowu Służek, — nie  
mam się czego obawiać, ale boję się, że  
może on wpaść w inne ręce i wówczas bę-  
dę musiał znowu drzeć buty spełniając roz-  
kazy nowego pana. Pracuję już tak od ty-  
sięcia lat, więc chyba należy mi się wypo-  
czynek?

Umówili się że książę schowa skrawek  
papieru do małego pudełka i zakopie je w  
ziemię, a miejsce to przyłoży wielkim ka-  
mieniem. Podziękowali potem sobie wzajem-  
nie i rozstali się.

Książę uczynił tak, jak obiecał, lecz  
nikt nie widział, kiedy i gdzie zakopał pu-  
dełko. Żył potem szczęśliwie ze swą królew-  
ną, a Pan Bóg pobłogosławił ich wkrótce  
dziećmi. Gdy stary król umarł, książę odzie-  
dziczył po nim całe królestwo i dalej ro-  
zumnie w niem rządził. Podobno jeszcze do

dzisiaj żyje ów książę i do dzisiaj panuje  
w owym kraju.

A małego pudełka, do którego książę  
schował ów tajemniczy skrawek papieru, do  
dzisiaj jeszcze wiele ludzi szuka.

—————



## TRZY PSY.

Był sobie pewnego razu król, który wyruszył w świat, a gdy wrócił, przywiózł ze sobą piękną królową. Niedługo potem Pan Bóg pobłogosławił ich małą córeczką. Radość zapanowała w całym kraju, bo poddani, dla których był król dobrym i sprawiedliwym władcą, ucieszyli się ogromnie przyjściem na świat królewny.

Gdy królowa leżała jeszcze w kołysce, do komnaty weszła raz nieznamiona starszka, pochyliła się nad dzieckiem i powiedziała królowej i królowi, że nie powinni pozwalać swej córce, aby wychodziła nadwór i znajdowała się pod gołym niebem, dopóki nie skończy lat piętnastu. Zaznaczyła, że gdyby królowa wcześniej opuściła pałac, schwytałby ją olbrzym górski.

Król wziął sobie do serca słowa nieznojonej staruszki i kazał czuwać swym dworzanom, aby królewna nie wyszła z pałacu.

Wkrótce potem Bóg zesłał parze królewskiej drugą córeczkę i znowu radość w kraju zapanowała. Po raz drugi w pałacu zjawiła się owa staruszka, ostrzegając króla, aby nie pozwolił drugiej swej córce wychodzić z pałacu, dopóki nie skończy lat piętnastu. Po roku Bóg zesłał królestwu trzecią córkę. I tym razem staruszka się ukazała, powtarzając po raz trzeci swoje ostrzeżenie. Król zasmucił się ogromnie, bo kochał swe córki ponad wszystko w świecie. Pamiętając jednak o ostrzeżeniu staruszki, wydał specjalne polecenia, aby trzy królewny przez piętnaście lat trzymane były w pałacu i nie wychodziły pod gołe niebo.

Czas mijał, a córki króla rosły i stały się pięknymi dziewczętami, o których w całym kraju mówiono. Wybuchła wojna i król musiał pałac opuścić. Pewnego dnia podczas nieobecności króla, wszystkie trzy królewny siedziały w swojej komnacie przy oknie, obserwując promienie słoneczne, odbijające się na kwiatach w ogrodzie. Nagle królewny zapragnęły powąchać cudowne

kwiaty, więc zwróciły się do piastunek, aby te pozwoliły im wyjść do ogrodu na chwilę. Piastunki nie chciały się zgodzić, gdyż bały się bardzo gniewu króla, ale królewskie córki tak pięknie prosiły, że piastunki uległy wreszcie. Jednak królowny niedługo spacerowała po ogrodzie i niedługo znajdowały się pod gołym niebem, po chwili bowiem nadciągnęła wielka chmura, która je zabrała i żadne poszukiwania już nie pomogły.

Okryło się żałobą całe królestwo i łatwo sobie wyobrazić smutek króla, gdy wrócił z wojny i dowiedział się o tem, co się stało. Ale ponieważ wszelkie poszukiwania były próżne, przestano wkrótce szukać i martwić się. A ponieważ król nie widział innej rady, rozgłosił po całym królestwie, że chętnie odda jedną z królewien za żonę temu, który królowny odnajdzie.

Gdy wiadomość ta rozeszła się po innych krajach, kilkudziesięciu młodzieńców wyruszyło na poszukiwania. Na dworze królewskim byli również dwaj królewicze, którzy postanowili wybrać się na poszukiwanie, aby potem dostać za żonę jedną z odnalezionych córek króla wraz z połową jego królestwa. Uzbroili się królewicze w ostre szpady i postanowili nie wrócić więcej, jeżeli misji swojej nie spełnią.

A teraz pozostawimy na chwilę królewiczów, wędrujących po świecie w poszukiwaniu i zwrócimy oczy w zupełnie inną stronę.

Daleko, daleko, w ciemnym lesie mieszkała pewna biedna wdowa z synem jedynakiem, którego jedynym zajęciem było pasanie trzech prosiaków matki. Codziennie wyganiał prosięta na paszę, a gdy przychodził na pole, siadał na trawie i godzinami całemi grał na swej fujarce. Potrafił grać tak pięknie, że melodją chwycił za serca tych wszystkich, którzy jego fujarki słuchali.

Gdy pewnego razu młodzieniec usiadł na skraju lasu i począł wygrywać na swej fujarce rzewne pieśni, z zarośli leśnych wyszedł jakiś starzec z długą siwą brodą. Starzec prowadził na sznurku dużego pięknego psa. Gdy młodzieniec zobaczył owego psa, pomyślał w duchu:

— Skoro ten starzec ma psa, który mu towarzyszy w wędrowce, to musi się on czuć bardzo szczęśliwym.

Starzec odgadł widocznie myśli pastuszka, bo rzekł:

— Właśnie dlatego tu przyszedłem, gdyż pragnę zamienić mego psa na jedno z two-

ich prosiąt.

Młodzieniec zgodził się odrazu i zrobił zamianę. Dostał dużego psa, a oddał starcowi szare prosię wzamian. Starzec po chwili odszedł, lecz odchodząc, powiedział:

— Powinieneś być zadowolony z tej zamiany, bo ten pies nie jest taki, jak inne psy. Wabi się on „Weźgo”, a gdy kogoś schwyta, nie puści już, choćby schwytał nawet diabła.

Po tych słowach starzec odszedł, a pastuszek uradował się, że uczynił taką korzystną zamianę.

Gdy nadszedł wieczór, przywołał swego psa i zagnał prosięta do domu. Lecz, gdy stara matka usłyszała, że oddał szare prosię za psa, zaczęła się bardzo na syna gniewać i dała mu porządną burę. Młodzieniec z początku chciał ją uspokoić, ale uspokajał ją napróżno, bo z każdą chwilą padała w jeszcze większy gniew. Gdy wreszcie nie wiedział już, co ma z nią robić, zawołał na swego psa:

— Weźgo!

Pies odrazu rzucił się, chwycił starą matkę i trzymał ją tak mocno w paszczy, że się nie mogła ruszać. Nie wyrządził jej jednak żadnej krzywdy. Biedna wdowa przy-

rzekła swemu synowi, że nie będzie się już na niego gniewać i w domu zapanował spokój.

Na drugi dzień młodzieniec znowu udał się na pole ze swym psem i dwójkiem prosiąt. Usiadł znowu na trawie i począł grać jak zwykle, na swej fujarce, a pies jego zaczął tańczyć w takt wygrywanej melodji. Nagle z lasu wyszedł ten sam starzec z siwą brodą, prowadząc na sznurku drugiego takiego samego psa. Gdy młodzieniec zobaczył piękne zwierzę, pomyślał sobie w duchu:

— Skoro ten starzec ma takiego psa za towarzysza, to napewno nie potrzebuje się bać niczego.

Starzec znowu odgadł jego myśli i rzekł:

— Właśnie dlatego tu przyszedłem, gdyż pragnę zamienić mego psa, na jedno z twoich prosiąt.

Młodzieniec zgodził się odrazu i zrobili zamianę. Dostał dużego psa, a oddał starcowi szare prosię wzamian. Starzec, odchodząc, powiedział:

— Powinienieś być zadowolony z tej zamiany, bo ten pies nie jest taki, jak inne psy. Wabi się on „Rwijał“, a gdy nim kogoś

poszczujesz, rozerwie go na kawałki, choćby to był sam djabeł.

Po tych słowach starzec odszedł, a pastuszek uradował się, że uczynił taką korzystną zamianę, chociaż wiedział, że stara jego matka nie będzie z tej zamiany zadowolona.

Gdy nadszedł wieczór i młodzieniec wrócił do domu, stara jego matka nie była wcale mniej zagniewana, niż dnia poprzedniego, nie dała jednak bury swemu synowi, bo się bała psów.

Na trzeci dzień młodzieniec znowu udał się na pole ze swemi psami i jednym prosięciem. Usiadł na trawie i począł grać jak zwykle, na swej fujarce, a psy tańczyły w takt wygrywanej melodji. Nagle z lasu wyszedł ten sam starzec z siwą brodą, prowadząc na sznurku trzeciego, takiego samego psa. Gdy młodzieniec zobaczył piękne zwierzę, pomyślał sobie w duchu:

— Skoro ten starzec ma takiego psa za towarzysza, to napewno niepotrzebuje się bać niczego i jest najzupełniej szczęśliwy.

Starzec znowu odgadł jego myśli i rzekł:

— Właśnie dlatego tu przyszedłem, gdyż pragnę zamienić mego psa na jedno z twoich prosiąt.

Młodzieniec zgodził się odrazu i zrobili zamianę. Dostał dużego psa, a oddał starcowi ostatnie prosię wzamian. Starzec, odchodząc, powiedział:

— Powinieneś być zadowolony z tej zamiany, bo ten pies nie jest taki, jak inne psy. Wabi się „Słuchaj!” i słuch ma taki czujny, że słyszy wszystko, co dzieje się w największem nawet odległości. Słyszy nawet, jak trawa i drzewa rosną.

Po tych słowach starzec odszedł, a pastuszek uradowany był, gdy pomyślał, że niczego już na świecie bać się nie potrzebuje.

Gdy nadszedł wieczór i wrócił ze swemi trzema psami do domu, matka zasmuciła się bardzo, że syn jej sprzedał wszystko, co posiadała. Ale młodzieniec począł ją uspokajać, tłumacząc, że wkrótce nie będą już odczuwali braku niczego. Biedna wdowa przestała się smucić, przejęta tłumaczeniem syna.

Gdy nadszedł świt, młodzieniec wyszedł na polowanie ze swemi psami, a wrócił wieczorem obładowany upolowanemi ptakami i zwierzyną. Od tego dnia chodził już na polowanie codziennie do czasu, aż spiżarnia starej wdowy zapełniła się wszystkim, co jej tylko było potrzeba. Wówczas mło-



dzieniec pożegnał swoją matkę, przywołał psy i oznajmił, że wybiera się w świat, na poszukiwanie szczęścia.

Szedł długo, mijając góry i doliny, aż znalazł się wreszcie w gęstym lesie. W lesie tym spotkał starca o siwej brodzie, od którego kupił swoje trzy psy. Uradował się ogromnie na widok staruszka i zawołał:

— Dzień dobry, dziadku, dziękuję wam za wasze psy po raz ostatni.

— Dzień dobry, chłopcze, a dokąd to śpieszysz? — zapytał starzec.

— Idę w świat, aby znaleźć szczęście, — odpowiedział młodzieniec.

A na to starzec:

— Idź prosto, aż dojdiesz do pałacu królewskiego, a zobaczysz, że tam szczęście cię czego.

Po tych słowach starzec odszedł.

Młodzieniec usłuchał jego rady i szedł wciąż prosto przed siebie. Po drodze zatrzymywał się w oberżach, grając na swej fujarce. Psy tańczyły w takt wygrywanej melodji, a ludzie dawali jemu i psom pożywienie.

Po długiej, bardzo długiej wędrówce doszedł wreszcie do wielkiego miasta, którego ulice przepelnione były ludźmi. Na rogu ja-

kiejs ulicy młodzieniec zatrzymał się, aby wysłuchać czytanego ogłoszenia królewskiego, że ten, który odnajdzie trzy królewny, otrzyma połowę królestwa i jedną z królewien za żonę.

Teraz dopiero młodzieniec zrozumiał radę starca o siwej brodzie. Przywołał swe psy i poszedł do pałacu króla. Lecz tutaj wszystko tonęło w smutku i żałobie od owego dnia, kiedy córki królewskie zniknęły. A ze wszystkich dworzan najbardziej zasmuceni byli sam król i królowa. Wówczas młodzieniec podszedł do tego, który drzwi, pałacu otwierał i poprosił go o pozwolenie zagrania na fujarce i pokazania swych tańczących psów królowi. Dworzanie zgodzili się na to chętnie, bo chcieli rozweselić czemś króla, więc młodzieniec został wpuszczony do pałacu i pokazał królowi swe przedstawienie. A gdy król zobaczył tańczące psy, rozweselił się i nikt z dworzan nie widział go tak szczęśliwym przez całe siedem lat od zniknięcia królewien, jak właśnie w tej chwili.

Gdy psy przestały tańczyć, król zapytał młodzieńca, czego by pragnął w nagrodę za uczynienie mu takiej przyjemności. Młodzieniec rzekł:

— Miłościwy królu, nie przyszedłem tu po nagrodę. Mam do ciebie inną prośbę, abyś mi pozwolił wybrać się na poszukiwanie trzech twoich córek, które przed siedmiu laty zniknęły.

Gdy król to usłyszał, zasmucił się znowu i odpowiedział:

— Nie powinieneś nawet marzyć o odnalezieniu mych córek. Nie jest to takie łatwe i z pewnością poszukiwania twoje na nic się nie zdadzą. Jeżeli jednak uda ci się odnaleźć królowny, możesz być pewny, że nie złamię danego słowa.

Młodzieniec pożegnał się i wyszedł z pałacu. Postanowił nie spocząć, dopóki nie odnajdzie królewien.

Mijał dużo krajów bez specjalnych przygód, a gdziekolwiek szedł, wszędzie trzy psy mu towarzyszyły. „Słuchaj!” biegł naprzód, nasłuchujących wszelkich szmerów, „Weźgo!” niósł worek swego pana, a „Rwiji!”, najsilniejszy, niósł młodzieńca, gdy ten był już zmęczony.

Pewnego dnia „Słuchaj!” podbiegł śpiesznie, opowiadając swemu panu, że był na wysokiej górze, widział jedną z królewskich córek, zajętą przedziwem i przekonał się, że Olbrzyma, który ją ukradł, nie było

w domu. Młodzieniec ogromnie się ucieszył tą wiadomością i pośpieszył w stronę góry wraz ze swojemi trzema psami.

Gdy stanęli na miejscu, „Słuchaj!” rzekł:

— Nie powinniśmy tracić czasu. Olbrzym znajduje się o dziesięć mil stąd i słyszę już odgłos złotych kopyt jego konia, uderzających o kamienie.

Młodzieniec rozkazał swym psom wyważyć drzwi wielkiej jaskini, a psy natychmiast rozkaz spełniły. Gdy znaleźli się wewnątrz góry, ujrzał młodzieniec piękną dziewczynę, siedzącą w obszernej pieczarze, pochyloną nad złotem wrzecionem. Młodzieniec skłonił się i pozdrowił ją.

Córka królewska była ogromnie zdziwiona i zapytała:

— Kim jesteś, żeś ośmielił się wtargnąć do pieczary Olbrzyma? Przez całe siedem lat siedzę tutaj i nie widziałam jeszcze ani jednego człowieka. — A po chwili dodała: — Uciekaj stąd szybko, zanim Olbrzym wróci do domu, bo wtedy napewno z życiem nie ujdiesz!

Lecz młodzian był nieustraszony i oznajmił, że zaczeka na powrót Olbrzyma.

Po pewnym czasie Olbrzym wrócił, jadąc tak szybko, że z pod kopyt jego konia

leciały iskry. Gdy zobaczył otwartą bramę, rozgniewał się bardzo i zawołał tak głośno, że aż góra się zatrzęsała:

— Kto otworzył drzwi mojej pieczary?

Młodzieniec dumnie odpowiedział:

— Ja to uczyniłem, a teraz pragnę załatwić się z tobą! „Weźgo!” na wroga! „Rwił!” „Słuchaj!” rozerwijcie go na strzępy!

Zaledwie te słowa wypowiedział, gdy psy rzuciły się na Olbrzyma i rozerwały go go na drobne kawałki. Królowna uradowana rzuciła się na szyję swemu wybawcy i ucałowała go.

— Niech cię Bóg wynagrodzi! Jestem teraz wolna!

Ale młodzieniec nie chciał dłużej pozostać w pieczarze więc osiodłał wierzcho-wca Olbrzyma, zabrał złoto i drogie kamienie, znalezione w pieczarze i odjechał śpiesznie wraz z piękną królowną

Ujechali spory kawał drogi, gdy pewnego dnia, „Słuchaj!”, który biegł ciągle naprzód, nasłuchując, wrócił śpiesznie do swego pana i opowiedział, że był w pobliżu wysokiej góry, widział drugą córkę królewską, zajęętą przedziwem i przekonał się, że Olbrzyma, który ją ukradł, nie było w domu. Młodzieniec ogromnie się ucieszył tą wiadomością.

mością i pośpieszył w stronę góry wraz ze swojemi trzema psami.

Gdy stanęli na miejscu, „Słuchaj!” rzekł:

— Nie powinniśmy tracić czasu. Olbrzym znajduje się tylko o osiem mil stąd i słyszę już odgłos złotych kopyt jego konia, uderzających o kamienie.

Młodzieniec natychmiast rozkazał swym psom wyważyć drzwi wielkiej pieczary, a psy rozkaz jego spełniły. Gdy znaleźli się wewnątrz góry, ujrzał młodzieniec piękną dziewczynę pochyloną nad złotem wrzcionem. Zbliżył się i pozdrowił ją.

Córka królewska była ogromnie zdziwiona i zapytała:

— Kim jesteś, żeś ośmielił się wtargnąć do pieczary Olbrzyma? Przez całe siedem lat siedzę tutaj i nie widziałam jeszcze ani jednego człowieka. — A po chwili dodała: — Uciekaj stąd szybko, zanim Olbrzym wróci do domu, bo wtedy napewno z życiem nie ujdiesz!

Lecz młodzieniec powiedział jej, poco tu przyszedł i oznajmił, że zaczeka na powrót Olbrzyma.

Po pewnym czasie Olbrzym wrócił, jadąc tak szybko, że z pod kopyt jego konia

leciały iskry. Gdy zobaczył otwartą branie, rozgniewał się bardzo i zawołał tak głośno, że aż góra się zatrzęsała:

— Kto otworzył drzwi mojej pieczary?

Młodzieniec dumnie odpowiedział:

— Ja to uczyniłem, a teraz pragnę załatwić się z tobą! „Weźgol” na wroga! „Rwij!” „Słuchaj!”, rozerwijcie go na strzępy.

Psy natychmiast rzuciły się na Olbrzyma i rozerwały go na drobne kawałki. Królowna uradowała się ogromnie, rzuciła się na szyję swemu wybawcy i ucałowała go.

— Niech cię Bóg wynagrodził! Jestem teraz wolna!

Młodzieniec zaprowadził królownę, do jej starszej siostry, która z radością ją powitała, a potem załadował znalezione złoto i drogie kamienie na konia Olbrzyma i odjechał z dwiema królewskimi córkami.

Jechali tak bardzo, bardzo długo, gdy pewnego dnia „Słuchaj!”, który ciągle biegł napród, wrócił śpiesznie do swego pana i opowiedział, że był w pobliżu wysokiej góry, widział trzecią córkę królewską, zajęętą przedziwem i przekonał się, że Olbrzyma, który ją ukradł, nie było w domu. Młodzieniec ogromnie się ucieszył tą wiadomością

i pośpieszył w stronę góry wraz z swojemi psami

Gdy stanęli na miejscu, „Słuchaj!” rzekł:

— Nie powinniśmy tracić czasu. Olbrzym znajduje się tylko o osiem mil stąd; słyszę odgłos złotych kopyt jego konia, uderzających o kamienie.

Wówczas młodzieniec rozkazał swym psom wyważyć drzwi wielkiej pieczary, a psy natychmiast rozkaz jego spełniły. Gdy znaleźli się wewnątrz góry, ujrzał młodzieniec piękną dziewczynę pochyloną nad złotem wrzecionem. Lecz ta królewna była o wiele piękniejsza od dwóch swych starszych sióstr, a młodzieniec pomyślał, że tak pięknej dziewczyny, jeszcze nigdy w swem życiu nie widział. Zbliżył się i pozdrowił ją.

Córka królewska była bardzo zdziwiona i zapytała:

— Kim jesteś, żeś ośmielił się wtargnąć do pieczary Olbrzyma? Przez całe siedem lat siedzę tutaj i nie widziałam jeszcze ani jednego człowieka. — A po chwili dodała:—Uciekaj stąd szybko, zanim Olbrzym wróci do domu, bo wtedy napewno z życiem nie ujdiesz!

Lecz młodzieniec był tak zachwycony



jej pięknnością, że oznajmił, iż chętnie życie odda dla niej.

Po pewnym czasie Olbrym wrócił i zatrzymał swego rumaka u podnóża góry. Gdy wszedł do pieczary, lęk go ogarnął, bo wiedział już o losie swoich zwyciężonych braci. Postanowił więc podstępem pokonać młodzieńca, nie chcąc prowadzić z nim otwartej walki. W tym więc celu, zaczął rozmawiać przyjaźnie z gościem, a córce królewskiej kazał przygotować wieczerzę.

Ponieważ Olbrym nie gniewał się wcale, okazując tyle gościnności młodzieńcowi, ten uwierzył jego słowom, nic nie podejrzewając. Zasiadł do stołu wraz z Olbrymem i nie zwracał wcale uwagi na to, że królewna ukradkiem płakała, a psy poruszały się pod stołem niespokojnie

Gdy skończyli kolację, młodzieniec rzekł:

— Teraz, kiedy już zaspokoiliś mój głód, daj mi coś, abym zaspokoił swe pragnienie!

A Olbrym odpowiedział:

— Na szczycie góry jest źródło, z którego tryska najczystsze wino, nie wiem tylko, jak mam ci tego wina przynieść.

— Jeżeli nie masz kogo posłać po wi-

no, — rzekł młodzieniec, — to może pójdzie po nie jeden z moich psów.

Wówczas Olbrzym zaśmiał się fałszywie, bo właśnie chodziło mu o to, aby młodzieniec wysłał swoje psy z pieczary.

Młodzieniec rozkazał psu „Weźgo!” udać się do źródła, a Olbrzym dał psu wielki dzbanek. Pies wyszedł, chociaż widać było, że czynił to niezbyt chętnie. Dużo czasu minęło, a „Weźgo” nie wracał.

Nagle Olbrzym odezwał się:

— Dziwię się, dlaczego twój pies tak długo bawi przy źródle. Możebyś posłał drugiego psa po niego, bo droga jest daleka, dzban bardzo ciężki.

Młodzieniec zgodził się, nic złego nie podejrzewając. Przywołał swego psa „Rwij!” i kazał mu pobiec do źródła, aby się przekonał, dlaczego „Weźgo!” nie wraca. Pies pokiwał ogonem, lecz nie chciał opuścić swego pana. Młodzieniec jednak nie zwrócił na to uwagi i groźniejszym już głosem kazał mu pobiec natychmiast. Wówczas Olbrzym zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem, a córka królewska zapłakała. Młodzieniec nie zauważył tego, nie przewidując żadnego grożącego mu niebezpieczeństwa.

Znowu sporo czasu upłynęło, a psy z winem nie wracały. Wówczas Olbrzym rzekł:

— Widzę, że twoje psy nie darzą cię zbyt niemiłym posłuszeństwem, bo jakoś nie wracają z winem. Myślę, że dobrzeby było posłać trzeciego psa, aby się przekonał, dlaczego tamte nie wracają.

Młodzieniec zgodził się, rozkazując trzeciemu swemu psu biec do źródła. Lecz „Słuchaj!” nie chciał pójść i położył się z głosem wyciem u nóg swego pana. Wtedy młodzieniec rozgniewał się i wypędził psa z pieczary. A gdy „Słuchaj!” dotarł do szczytu góry, spotkał go taki sam los, jak dwóch poprzednich towarzyszy, bo zamknęła się za nim wysoka ściana i nie mógł się z poza muru wydostać, ulegając sile Olbrzyma.

Teraz, kiedy już ani jednego psa nie było, Olbrzym wstał i odrazu twarz jego stała się gniewna. Zdjął ze ściany długą szpadę i rzekł:

— Teraz uczynię to, czego bracia moi nie uczynili. Musisz umrzeć, bo znajdujesz się w mojej mocy!

Młodzieniec przeraził się, żałując bardzo, że pozwolił swoim psom odejść.

— Nie proszę o to, abyś mi darował życie, — powiedział do Olbrzyma, — bo prze-

cież wiem, że prędzej, czy później mu umrzeć. Chciałbym tylko przed śmiercią zagrać jeszcze jakąś pieśń na mojej fujarce, bo taki jest zwyczaj w kraju, z którego pochodzę.

Olbrzym uwzględnił to jego życzenie, zaznaczając jednak że nie myśli czekać długo. Młodzieniec ukląkł i zaczął grać na swej fujarce, a rzewna melodia rozniosła się echem po górach i dolinach. W tej samej chwili czarodziejska ściana na szczycie góry zawałiła się i psy zaczęły pędem biec do pieczary. Gdy wbiegły do wnętrza, młodzieniec uradowany zawołał:

— „Weźgo!” na wroga! „Rwij!” „Słuchaj!” rozerwijcie go na strzępy!

Psy rzuciły się na Olbrzyma i rozerwały go na drobne kawałki. Młodzieniec szybko pozbiierał wszystkie skarby, znajdujące się w pieczarze, zaprzągnął konie Olbrzyma do złoconego pojazdu i odjechał.

Teraz, kiedy trzy królowny spotkały się, zapanowała wśród nich wielka radość. Dziękowały młodzieńcowi za uwolnienie, lecz jemu podobała się najlepiej najmłodsza królowna i obydwójce przysięgli sobie dozgonną wierność. Wszyscy jechali w złoconym powozie, a królowny na pamiątkę poowi-

iały swe złote pierścienie włosami młodzieńca.

Pewnego dnia podczas męczącej podróży, spotkali dwóch wędrowców, którzy szli tą samą drogą. Ubranie na nich było podarte, nogi mieli zakrwawione, a cały ich wygląd wskazywał, że musieli już wędrować od bardzo dawna. Młodzian zatrzymał powóz zapraszając wędrowców, aby wsiedli.

Wędrowcy opowiedzieli, że są dwoma królewiczami, którzy wybrali się na poszukiwanie trzech królewien. Szczęście im jednak nie sprzyjało i wracają do swego rodzinnego kraju, wyglądając raczej, jak włóczędzy, niż królewscy synowie.

Podziękowali młodzieńcowi za dobroć, wsiedli do powozu i wkrótce znaleźli się w kraju, w którym panował ojciec uwolnionych królewien.

Gdy się jednak dowiedzieli, że młodzieńiec odnalazł trzy królewskie córki, opanowała ich wielka zazdrość i postanowili go się pozbyć. Odbyli naradę i w pewnej chwili rzucili się na młodzieńca, zadając mu bolesne rany. Królewnom zagrozili, że zabiją je, jeżeli ich zdradzą, a ponieważ biedne córki królewskie były teraz w ich mocy, musiały przyrzec milczenie. Zasmuciły się jed-

nak ogromnie, bo przecież ów młodzieniec ryzykował własne życie dla nich, a najmłodsza królowna pokochała go całym sercem.

Pozbywszy się rywala, królewicze wraz z królowkami zajechali do pałacu, gdzie król powitał ich z wielką radością.

Tymczasem biedny młodzian leżał prawie nieżywy na skraju gęstego lasu. Wierne psy leżały przy nim, ogrzewając go sobą i liżąc jego ramię. Tak długo nad nim czuwały, aż wreszcie młodzian do życia powrócił, a gdy był już dość silny, ruszył wraz z psami w dalszą drogę i dotarł wreszcie do pałacu, w którym królowny ze swymi rodzicami mieszkały.

Gdy przekroczył bramy pałacu, przekonał się, że panowała tu wielka radość, a z komnat królewskich dosłyszał dźwięki muzyki. Zdziwiony wielce, zapytał dworzan, co to wszystko miało znaczyć. Na to dworzanie odpowiedzieli:

— Musiałeś długo podróżować i długo cię tu widocznie nie było, bo inaczej wiedziałbyś, że król odzyskał swe córki, które przebywały przez siedem lat w mocy górskich olbrzymów. Dzisiaj król wyprawia wesele swej najstarszej córki.

Młodzieniec zapytał o najmłodszą kró-

lewnę i o to, kiedy jej wesele się odbędzie? Lecz dworzanie odpowiedzieli, że najmłodsza królewna nikogo nie chce za męża, i płacze od rana do wieczora, chociaż nikt nie wie dlaczego. Młodzieniec uradował się tą wiadomością, bo był już teraz przekonany, że królewna dochowała mu swej wierności. Zwrócił się do dworzanina, który stał u wejścia do pałacu i poprosił, aby zakomunikował królowi, że przybył gość, który pragnie na weselu królewny zademonstrować swe tańczące psy. Królowi bardzo się spodobała ta propozycja i kazał przybysza wprowadzić do komnaty weselnej.

Gdy młodzieniec wszedł, całe towarzystwo weselne zwróciło na niego uwagę i wszyscy jednogłośnie uznali, że tak przystojnego chłopca nie widzieli jeszcze.

Wkrótce trzy córki królewskie poznały młodzieńca i wszystkie trzy rzuciły mu się na szyję. Wtedy królewicze nie wiedzieli, co mają dalej robić, bo królewny opowiedziały wszystkim, że to ów młodzieniec je odnalazł, a na dowód pokazały jego włosy, owinięte dokoła swych pierścieni.

Gdy król dowiedział się o tem wszystkim, rozgniewał się srodze na królewiczów i kazał ich wygnąć z granic swego króle-

stwa. Dzielnego młodzieńca przyjął serdecznie i oddał mu swą najmłodszą córkę za żonę. A po śmierci króla młodzieniec został królem wybrany i panował długie, długie lata.



## PASTERZ Z MUTINY

Wśród ponurych czarnych gór, daleko, za morzami, jest jezioro zwane Lynwanwacz. Nad brzeg tego jeziora przyprowadził raz pasterz z Mutiny barany swoje i położył się na trawie patrząc, jak barany się pasą. Nagle z ciemnych wód jeziora wyłoniły się trzy dziewczęce postacie. Otrząsnąwszy krople wody z włosów, wyszły na brzeg i skierowały się w stronę stada baranów. Wszystkie trzy piękniejsze były od dziewcząt, które pasterz w swoim życiu widział, to też zakochał się odrazu w tej, która szła na przędzie. Oddał jej chleb przyniesiony z sobą, a ona ten dar od niego przyjęła. Lecz, gdy skosztowała chleba, rzekła śpiewnym głosem:

— Przepieczony jest twój chleb. Nie tak łatwo będzie mnie zdobyć, — i wszystkie trzy śmiejąc się srebrzyście, umknęły do jeziora.

Na drugi dzień pasterz zabrał ze sobą chleb niedopieczony i począł czekać na trzy rusałki. Gdy wyszły na brzeg, oddał swój chleb pierwszej, a dziewczyna skosztowała go i zawołała śpiewnym głosem:

— Niedopieczony jest twój chleb. Nie tak łatwo będzie mnie zdobyć.

I znowu wszystkie trzy zniknęły w falach jeziora.

A na trzeci dzień pasterz z Mutiny, pragnąc zdobyć rusałkę, ofiarował jej chleb, który znalazł na brzegu jeziora. Ten chleb smakował rusałce i obiecała zostać jego żoną, jeżeli pasterz zdoła ją wykraść siostrom następnego dnia. A gdy umówiona pora nadeszła, pasterz poznał swą ukochaną po sprzączce u sandałka. Wówczas powiedziała mu, że będzie dlań taką samą dobrą żoną, jak ziemskie dziewczęta, dopóki on nie uderzy jej trzykrotnie bez powodu. Oczywiście pasterz przyrzekł, że nigdy tego nie uczyni. Wówczas rusałka wywołała z jeziora trzy krowy, dwa woły i cielę, które za-

brała jako swoje wiano i poszła z pasterzem, zostawszy jego żoną.

Lata mijały szczęśliwie. Troje dzieci urodziło się pasterzowi i ruszałce. Lecz pewnego dnia, gdy wybierali się na chrzciny i ruszałka powiedziała, że jest bardzo zmęczona, pasterz kazał jej pojechać bryczką.

— Pojadę, — rzekła ruszałka, — ale musisz mi przynieść rękawiczki, które zostawiłam w domu.

Poszedł po rękawiczki, a jak wrócił, dostrzegł, że ruszałka idzie piechotą, więc uderzył ją lekko rękawiczką w ramię, mówiąc:

— Idź, idź.

— To jest pierwszy raz, — rzekła ruszałka.

Innego znów dnia byli na weselu i ruszałka nagle zaczęła płakać, chociaż w izbie weselnej panowała ogólna radość.

Pasterz trącił ją w ramię i zapytał:

— Dlaczego płaczesz?

— Dlatego, że państwo młodzi będą mieli dużo w życiu zmartwień, a zmartwienia i ciebie nie miną, bo już po raz drugi uderzyłeś mnie bez przyczyny. Bądź ostrożny, trzeci raz, będzie ostatnim.

Pasterz postanowił nigdy już więcej nie

dotykać swej żony, ale pewnego dnia na pogrzebie sąsiada rusalka nagle wybuchnęła głośnym śmiechem. Pasterz zapomniał się i dotknął lekko jej ramienia, pytając:

— Czy teraz jest pora na to, żeby się śmiać?

— Śmieję się, — odparła rusalka, — dlatego, że ci, co umierają, pozbywają się zmartwień, a nad tobą zmartwienie wisi. Uderzyłeś mnie po raz trzeci, więc musimy się rościć.

Mówiąc te słowa, poczęła biec pośpiesznie do domu.

Gdy wbiegła do izby, rozejrzała się i przywołała zwierzęta, które tutaj przyprowadziła z sobą, jako swoje wiano:

„Szara krówko, w białe łaty.  
Biała krówko, z czarną gwiazdką.  
Wołki moje i cielątko  
Wszyscy chodźcie do jeziora!”

Czarne ciele wisiało już zarżnięte na haku, lecz na głos rusalki urwało się z haku, ożyło i poszło za nią. Woły, które orwały właśnie w polu, ruszyły również za rusalką, ciągnąc za sobą pług. Rusalka udała się do jeziora i wkrótce wraz z swem bydłem zniknęła w jego falach. A do dzisiaj jeszcze nad brzegiem jeziora w miejscu, które

ciągniony przez woły pług zaorał, trawa  
nigdy nie rośnie.

Raz tylko jeden jeszcze rusalka wróci-  
ła, gdy synowie jej byli już dorośli. Obda-  
rzyła ich wówczas sztuką leczenia chorych  
i od tego czasu znani są na całym świecie  
jako cudowni lekarze z Mutiny.

---

## CHYTRY LIS.

Pewnego dnia lisowi udało się schwycić śpiącą gęś, która odbiła się od stada. Trzymał ją za skrzydło i kpił sobie z jej głośnego przeraźliwego gęganía. Wreszcie naśmiawszy się już do syta, rzekł do niej:

— Powiedz mi teraz, moja droga, co byś zrobiła, gdybyś mnie tak już miała w swojej paszczy?

— Bardzo łatwo ci na to odpowiem,— odrzekła gęś.—Wyciągnęłabym łapki, przymknęła oczy, westchnęła i zjadła cię.

— Ja też mam zamiar to zrobić, — rzekł lis, wyciągnął łapy, przymknął oczy i chciał już westchnąć, gdy nagle gęś rozwinęła skrzydła i uciekła mu. Biedny lis pozostał głodny, a nie miał już nic innego na kolację.

— Teraz już nigdy nie będę głupi, — pomyślał z niechęcią, — nigdy już nie będę wzdychał, dopóki nie poczuję zdobyczy w żołądku.

Razu pewnego ujrzał pięknego koguta i tłustą kurę, na które miał ogromny apetyt, lecz na jego widok kogut i kura poprunęły na drzewo. Lis jednak nie tracił nadziei i począł z nimi rozmawiać, zapraszając, aby sfrunęły na ziemię.

— Nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo, — tłumaczył, — nie zrobię wam żadnej krzywdy, bo na świecie między wszystkimi zwierzętami i ludźmi zapanował spokój.

Wówczas kogut, chcąc przekonać się, czy lis mówi prawdę, rzekł do kury:

— Moja droga, czy widzisz sforę psów, biegnących przez pole?

— Tak, — odparła kura, — za chwilę tutaj będą.

— Jeżeli będą tu za chwilę, to ja muszę uciekać, — zawołał lis, — gdyż lękam się, że głupie psy jeszcze nic nie wiedzą o panującym na świecie spokoju.

Mówiąc te słowa, ruszył pędem naprzód i zatrzymał się dopiero w swej norze.

Po kilku dniach spotkał lis rodzinę królików, na którą miał wielki apetyt. Właści-

Wie wystarczyłby mu jeden królik, ale postanowił upolować całą rodzinę, ojca i ośmiu synów i to tak, aby jeden o drugim nie wiedział.

— Niema sensu porywać jednego syna, — rzekł do siebie, — bo wówczas stary królik ostrzegłby resztę dzieci i uciekł wraz z siedmiu synami. Chciałbym tylko wiedzieć, który z tych królików jest ojcem.

Postanowił przez pewien czas śledzić rodzinę króliczą, ale był tak głodny, że pierwszego królika z brzegu schwycił i zjadł, a reszta królików rozbiegła się w popłochu.

Innym znów razem spotkał lis koguta.

— Ile sztuk potrafisz robić? — zapytał.

— Umiem dobrze trzy sztuki, — odpowiedział kogut. — A ile ty potrafisz?

— Ja umiem trzy tuziny sztuk, — odpowiedział lis.

— Jakie są te sztuki? — zapytał kogut.

— Jednej z tych sztuk nauczyłem się od dziadka mego, — mówił lis. — Polega ona na tem, że trzeba zamknąć jedno oko i bardzo głośno zapać.

— To nawet ja potrafię, — pochwalił się kogut.

— Spróbuj, — zachęcał go lis.

Kogut przyknuł jedno oko i zapał ze



wszystkich sił, lecz przymknął właśnie to oko, które było od strony lisa i lis skorzystał z tego, chwycił koguta za szyję i począł z nim uciekać.

Lecz spostrzegła to to żona koguta, tłuszcza kura i zawołała:

— Oddaj mi koguta, on do mnie należy.

— Powiedz jej „to jest mój kogut”, — doradził kogut lisowi.

Wówczas lis otworzył paszczę, aby powtórzyć słowa koguta, a ten wyrwał się i pofrunął na dach domu, poczem przymknął jedno oko i głośno zapiał.

Kiedyś, wczesnym rankiem lis z wilkiem spacerowali dokoła jeziora i w pewnej chwili lis odezwał się:

— Głupio z naszej strony, że tak przymieramy głodem. Chodźmy do najbliższej wsi i kupmy dla siebie kawałek pola.

Poszli do wsi, a gospodarz, do którego pole należało, oddał im chętnie spory kawałek, za który bardzo tanio zapłacili.

Posadzili tego roku na owem polu owies, a gdy go zebrali poczęli się niem dzielić.

— Teraz — rzekł pewnego dnia lis, — cobyś wolał mieć, słomę, czy ziarno? Ty pierwszy masz prawo wyboru.

— Wolałbym słomę, — odpowiedział wilk.

I po podziale lis miał przez cały rok doskonały chleb owsiany, a wilkowi została tylko słoma.

Następnego roku posadzili kartofle i urosły one ślicznie.

Gdy przyszło do podziału, lis znowu zapytał:

— Cobyś wolał teraz korzenie, czy liście?

Teraz już nie dam się nabrać. — odpowiedział wilk, — naturalnie, że wolę liście.

— Bardzo dobrze, otrzymasz to, czego pragniesz, — ucieszył się lis.

I lis znowu zjadał przez cały rok kartofle, a wilk żywił się zeszlęmi liśćmi. Biedny wilk był tak zgłodniały, a nawet kiedyś ukradł trochę kartofli lisowi.

Wówczas lis zapalał gniewem i rzekł do wilka:

— Czyś zapomniał, jak mi na imię? Umiesz czytać?

— Czytać, — zdziwił się wilk, — przecież wiesz, że czytać nie umiem.

— To idź do tamtej klaczy, — poradził mu lis, — bo moje imię jest wypisane na jej zadniej nodze.

Wilk podszedł do klaczy i prosił ją, aby mu przeczytała imię lisa. Klacz zgodziła się, podniosła zadnią nogę, świeżą podkutą i mocno kopnęła wilka w łeb. Wilk potoczył się i upadł ogłuszony.

Wówczas podszedł doń lis i zapytał:

— Powiedz mi, przyjacielu, i czy imię moje napisane było prozą, czy wierszem

— A nie otrzymawszy odpowiedzi, dodał:

— Widzisz, widzisz, powinieneś zrozumieć teraz stare przysłowie, którego nie rozumiałeś dawniej: „Najmądrzejszy, też się przelicy”.

I zadowolony lis, merdając swym puszystym ogonem, ruszył z powrotem do swej nory.

## ZIELONY SIERZANT

Dawno, bardzo dawno temu, żył sobie król, który miał bardzo piękną córkę jedy-naczkę. Była ona tak samo piękna jak i do-bra i cała służba w królewskim pałacu tak ją kochała, że król był nawet o to zazdro-sny. Kazał więc córkę swoją strzec baczenie i kazał sobie donosić nietylko jej słowa i czy-ny, lecz również to, o czem śniła.

Pewnej nocy królowna śniła, że była królową i że pięciu królów całowało ją w rękę. Jednym z tych królów był jej własny ojciec. Gdy nazajutrz rano opowiedziała o tem królowi, rozgniewał się na nią bar-dzo i kazał swym żołnierzom wyprowadzić ją do lasu i tam zostawić.

Królowna nigdy sama w lesie nie była,

to też bała się ogromnie, gdy ciemna noc zapadła. Ukrywszy się w jakiejś norze, zauważyła, że było to wejście do obszernej pieczary. Postanowiła w tej pieczarze przepędzić noc.

I znowu tej nocy śniła o pięciu królach, którzy ją całowali w rękę, a gdy dostrzegła, że jednym z królów był jej ojciec, obudziła się z przestachem. Właśnie w tej chwili światło dnia przedarło się do pieczary. Zamiast opuścić pieczarę, królowna poszła dalej w głąb.

Wkrótce stanęła u wielkich drzwi. Gdy je otworzyła, ujrzała obszerną salę, większą nawet, niż największa komnata w królewskim pałacu. Bogate makaty okrywały ściany, a po kątach stały prześliczne meble. Po środku był stół, zastawiony rozmaitemi potrawami. Ponieważ królowna była bardzo głodna, zjadła z apetytem sute śniadanie, a potem poczęła oglądać wszystkie skarby, które w pieczarze się znajdowały. W tej dziwnej komnacie było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do wspaniałej sypialni, zawieszanej jedwabnemi kotarami, a na jednej ścianie wisiało całe mnóstwo nowiutkich ubrań. Królowna ze smutkiem zauważyła, że te wszystkie ubrania były męskie.

Drugie drzwi prowadziły do stajni, gdzie znalazła pięknego wierzchowca.

Na widok królowny wierzchowiec padł przed nią na kolana, mówiąc:

— Dzięki ci, żeś przyszła i będziesz mi wydawała rozkazy.

Dość długo mieszkała królowna w pieczarze, zupełnie nikogo nie widząc. Tak długo tam przebywała, że ubranie, w którym ją ojciec z pałacu wyrzucił, zupełnie się już zniszczyło. Aż pewnego dnia przymierzyła zielone ubranie, wiszące na ścianie pieczary i przekonała się, że ubranie to doskonale na nią pasowało. Postanowiła więc obciąć włosy, a przejrząwszy się w zwierciadło, pomyślała, że wygląda, jak młody, przystojny mężczyzna.

— Dostyc mam już tej samotności, — powiedziała do siebie dnia pewnego. — Jest tu przecież w stajni koń. Dlaczegoż nie miałabym pojechać na szeroki świat w mojem nowem zielonem ubraniu?

Postanowiwszy tak, nie traciła już czasu, dosiadła konia i wkrótce znalazła się w królestwie, którego dotychczas nigdy nie widziała. Władcą tego królestwa był możny monarcha, znany w całym świecie. Królew-

na pamiętała, jak ojciec jej niejednokrotnie o tym królu wspominał.

Poprosiwszy o przyjęcie do gwardji królewskiej, wkrótce dostała rangę sierżanta i wszyscy odtąd nazywali ją Zielonym Sierżantem. Król zawsze spoglądał na nią łaskawie i najchętniej brał ją ze sobą w niedalekie podróże, nie zdając sobie sprawy z tego, że była córką sąsiadującego z nim monarchy. Nie wiedziała również o tem córka króla, królowna Lucynda, która wkrótce zakochała się w Zielonym Sierżancie. A gdy przekonała się, że sierżant żadnem uczuciem jej się nie odwzajemnia, popadła w gniew.

— Zimny, dumny Zielony Sierżancie, powinieneś być szczęśliwy, żeś popadł w łaski królowny Lucyndy, — mówiła.

Pewnego dnia rzekła do króla.

— Ojcze, czy wiesz, czem ten głupi Zielony Sierżant się chwali? Powiada, że może zjechać na swym koniu po schodach pałacowych, podrzucając w górę trzy cytryny i łapiąc je do puhara. Ani na chwilę w to nie wierzę, ale możemy wystawić go na próbę.

Oczywiście król przywołał Zielonego Sierżanta, rozkazując mu uczynić to, czem się przed królowną chwalił.

— Nie pamiętam, żebym się chwalił czemśkolwiek, — odparł młodzieniec, marszcząc brwi i z wysiłkiem przypominając sobie to, czego nigdy nie mówił. Nie było jednak innej rady, należało spełnić królewski rozkaz.

— Jakże sobie z tem damy radę? — zapytał swego konia.

— Nie bój się, — odparło zwierzę. — Gdy jutro nadejdzie, przekonasz się, że to wszystko jest bardzo łatwe.

I znowu tej nocy Zielony Sierżant śnił, że jest królową i że ojciec całuje go w rękę.

A gdy nadszedł ranek cały dwór królewski zebrał się przed pałacem, aby podziwiać zręczność Zielonego Sierżanta. Dośiadłszy swego konia, zjechał szybko po schodach pałacowych, podzuczając w górę trzy cytryny i chwytając je do złotego pułara. Powtarzał to kilkakrotnie, a dworzanie oklaskiwali go i nawet król zapomniawszy zupełnie o swej monarszej godności, klaskał w dłonie i wznosił okrzyki na cześć swego gwardzisty. Wesoło było wszystkim, z wyjątkiem królowy Lucyndy, która siedziała na swem miejscu z zasępioną twarzą.

Na drugi dzień powiedziała ojcu, że Sierżant chwalił się, iż potrafi przejechać



na koniu ścieżką, wyłożoną fajkami i żadnego z tych jajek nie zbije. Lecz i ta próba z Zielonym sierżantem udała się. Znowu go oklaskiwano i znowu król bawił się doskonale. Tylko królowna Lucynda siedziała na swem miejscu z zasepioną twarzą.

Po przepędzonej bezsennie nocy, przyszła rano do króla i rzekła:

— Ojczy, wiesz przecież o tych sławnych klejnotach, których od tylu lat strzeże wąż morski. Wczoraj dopiero Zielony Sierżant chwalił się, że mógłby pojechać na swym koniu w głębiny morza i odebrać wężowi morskiemu klejnoty. Ani na chwilę nie mogę w to uwierzyć, ale możemy wystawić go na próbę.

— Nic niewiadomo,—odpowiedział król, a oczy mu zabłysły gorącym pożądaniem odzyskania klejnotów, które już oddawna uważał za stracone.

Gdy przywołał do siebie sierżanta, ten oznajmił, że nigdy nie słyszał o owych cennych klejnotach, dodając jednak:

— Uczynię wszystko, aby spełnić twój rozkaz, Miłościwy Królu.

Lecz, gdy Zielony Sierżant wyszedł z komnaty królewskiej, był bardzo zmartwiony i do-

piero wierzchowiec nieco go uspokoił, mówiąc:

— Weź ze sobą butelkę oliwy, papierek szpilek i szczyptę soli, a zobaczysz, że wszystko pójdzie łatwo.

Zielony Sierżant wypełnił uważnie polecenie swego wierzchowca i nazajutrz rano wyjechał na nim na pełne morze, nie lękając się wzburzonych fal. Gdy znaleźli się już w głębinach, Zielony Sierżant ujrzał węża morskiego strzegącego klejnotów. Lecz nim wąż zdążył się zorientować, klejnoty już mu zabrał Zielony Sierżant.

Wówczas wąż morski począł go ścigać i na morzu zerwała się straszliwa burza. Widząc niebezpieczeństwo, Zielony Sierżant wyjął z kieszeni butelkę z oliwą, wyciągnął korek i wylał zawartość z butelki na fale. Odrazu na falach morskich utworzyła się gładziutka tafla, prowadząca, niby ścieżka do brzegu.

Jadąc wciąż przed siebie, Zielony Sierżant w pewnej chwili obejrzał się. Dostrzegł tuż za sobą węża morskiego, który go gonił zawzięcie. Wówczas Zielony Sierżant wsunął rękę do kieszeni i wyjął szczyptę soli, którą sypanął za siebie. Powstała wielka szara chmura, zasłaniająca jeźdźca przed wzro-

kiem morskiego węża. Ale chmura ta wkrótce zniknęła i znowu wąż morski począł Zielonego Sierżanta gonić.

Zielony Sierżant po raz trzeci sięgnął do kieszeni, wyjmując papierek szpilek. Szpilki rozsypały się na wodę i utworzyły kolczastą ścianę, przez którą wąż morski przeдрzeć się nie mógł.

A gdy wreszcie Zielony Sierżant powrócił z klejnotami, został przyjęty radośnie na dworze królewskim i taką ucztę na jego cześć król wyprawił, jakiej jeszcze nigdy nie widziano w żadnym królestwie. A gdy król otworzył szkatułkę z klejnotami, nagle wierzcholec Zielonego Sierżanta zamienił się w przystojnego królewicza.

— Kim jesteś?—zapytał zdziwiony król.

Wówczas królewicz-koń opowiedział mu całą historję, jak został zaklęty i jak królowa pewnego dnia przyszła do pieczary, a potem przebrała się za Zielonego Sierżanta.

Ponieważ król słyszał dużo o ojcu królowej, zapragnął nagle pojąć ją za żonę. Jednocześnie królowa Lucynda ujrawszy wyswobodzonego z pod zaklęcia królewicza, pokochała go od pierwszego wejrzenia.

A gdy wyprawiono wesele, pięciu królów przybyło, aby ucałować rękę królewskiej

oblubienicy. Jednym z tych królów był jej własny ojciec. Był on ostatnim z tych wszystkich pięciu, którzy uklękli przed nią, a gdy pochylił się nad jej ręką, królowa rękę cofnęła. Wówczas klęczący król spojrział jej w twarz i poznał swą córkę, którą tak sromotnie wygnał z pałacu. Był tak uszczęśliwiony tem, że córka jego żyje, że nie raz jeden, a kilkanaście razy rękę jej ucałował.

---

## MŁYNARZ WHANG.

Czyście nie czytali nigdy o młynarzu Whangu, który pragnął dużo zarabiać, był bardzo chciwy i dlatego utracił wszystko, co miał dotychczas?

Otóż młynarz Whang był chciwym z natury. Nikt nie kochał bardziej pieniędzy od niego, nikt nie pragnął ich więcej. Gdy ludzie w towarzystwie mówili o jakimś bogaczu, Whang zazwyczaj odpowiadał:

— Znam go dobrze. To mój serdeczny przyjaciel.

Ale, gdy ktoś wspominał o biedaku, Whang nigdy nie przyznawał się do przyjaźni. To też miał bardzo niewielu przyjaciół i nawet sąsiedzi go unikali.

Mimo swej wielkiej chciwości i pragnienia zdobycia fortuny, młynarz Whang był

biedny. Nie posiadał nic oprócz drobnego zarobku, który mu dostarczał jego młyn. Z pewnością jednak ten zarobek był niewielki. Czy młyn pracował, czy nie pracował, Whang zawsze miał coś do roboty, a mianowicie zawsze marzył o zdobyciu wielkich pieniędzy.

Aż pewnego dnia usłyszał, że jeden z jego przyjaciół znalazł garnek pieniędzy pod swoim domem, a przedtem ten garnek z pieniędzmi przyśnił mu się w nocy. Dotknęło to do żywego biednego Whanga.

— Więc ja od nocy do rana i od rana do nocy myślę o zdobyciu pieniędzy—oburzał się, — a taki mój sąsiad kładzie się spokojnie do łóżka i nagle śni mu się tysiące. Och, żebym mógł mieć taki sen przyjemny. Z jaką radością wykopałbym garnek, jak ostrożnie zaniósłbym go do domu, żeby nawet żona o tem nie wiedziała, a potem z jaką radością zanurzyłbym w złocie obydwie ręce aż po łokcie!

Te myśli coraz bardziej męczyły biednego młynarza. Zaniedbywał się w pracy, z niechęcią przyjmował drobne zarobki i wreszcie młyn jego coraz mniej pracował. Codziennie powtarzał swe życzenie, a co noc leżał z otwartymi oczami, oczekując snu.

Szczęście przez długi czas było dlań nielitościwe, aż wreszcie uśmiechnęło się do Whanga i sprowadziło mu wymarzony sen.

Śniło mu się pewnej nocy, że pod jego młynem znajdował się wielki garnek złota i djamentów, przywalony wielkim kamieniem. Whang zbudził się, podziękował Opatrzności za dobroć i nie mówiąc nic nikomu, postanowił, że jeżeli jeszcze dwa razy przyśni mu się garnek z pieniędzmi, to znaczy, że sen jest prawdziwy. Życzenia jego i tym razem spełniły się, bo na drugą i na trzecią noc powtórzył mu się ten sam sen.

Teraz nie było już o czem wątpić. Wstawszy więc o świcie, pobiegł sam do młyna i począł podkopywać jedną ze ścian właśnie w tem miejscu, w którem we śnie widział garnek z pieniędzmi. Wykopawszy już dość głęboko, natrafił na glinę. Począł kopać głębiej i wreszcie zobaczył wielki kamień, ale tak duży, że jeden człowiek w żaden sposób udźwignąć by go nie mógł.

— Tutaj, — zawołał radośnie Whang — tutaj jest to złoto!

Pod tym kamieniem musi stać garnek ze złotem i djamentami! Pobiegnę teraz do domu i opowiem o wszystkim żonie, aby przyszła tu ze mną i kamień pomogła mi usunąć.

Spiesznie wrócił do domu i opowiedział żonie historję swego snu. Nie trudno opisać jej radość. Zarzuciła mężowi ręce na szyję i ucałowała go serdecznie. Ale postanowili nie tracić czasu i natychmiast wziąć się do roboty. Jednakże, gdy wrócili do młyna, przekonali się, że Whang tak głęboko ściany podkopał, że cały młyn zawalił się i pozostały po nim już tylko gruzy.

—————



